Nr. 24. Poznań, Niedziela 16. czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

II.

Z chwilą, gdy ziemię szląską przyznano i oddano w trzech działach zniemczonym, bo w Niemczech wychowanym wnukom Krzywoustego z syna Władysława, — już właściwie uważać można Szląsk za oderwany od Polski: bo chociaż faktyczny prawnopolityczny rozdział nastąpił dopiero w dwieście lat później za Kazimierza Wielkiego, już z chwilą ową pękły główne ogniwa polityczne, łączące Szląsk z Macierzą. Książęta Władysławowicze, obawiając się utraty ziem im nadanych pod grozą potęgi cesarskiej, za słabi, aby o własnych siłach stawić czoło zakusom książąt polskich, zmierzającym znów do zlania rozdartej ziemi ojczystej w jednę całość, szukali oparcia o sąsiednie Czechy i o cesarstwo niemieckie. Potomkowie ich rozdrobnili ziemię Szląską na jeszcze mniejsze państewka, a koligując się z rodzinami niemieckich książąt i markgrafów coraz bardziej przechylali się na tę stronę. Porówno z rozdrobnieniem ziem dzielnicznych, upadała ich siła i znaczenie, upadały i dochody książęce, a mimo to każde książątko szląskie pragnęło otaczać się blaskiem zewnętrznym i odgrywać w polityce rolę wybitną. Więc dla podniesienia siły i dochodów, zwłaszcza tych ostatnich, ściągali do swych księstewek kolonistów niemieckich, niemniej i dla tego, aby upewnić się przeciwko możliwym buntom wzdychających do Polski poddanych. I nastąpił w dziejach Szląska okres najsmutniejszy, okres frymarczenia ziemią ojczystą, językiem i zwyczajami. Za przykładem książąt poszła powoli i szlachta szląska i stósownie do potrzeby, zysku lub powiewu z góry zamieniała się w Czechów lub Niemców. Najlepsze spłaziny ziemi rozdawano kolonistom niemieckim, mieszczan z Niemiec sprowadzanych obdarzano samorządem prawnym a tubylców polskich gnębiono na każdym kroku. Klasztory niemieckie, osiedlone w znacznej ilości, zwłaszcza przez św. Jadwigę, która niestety położyła przez to główne fundamenta do germanizacyi dolnego Szląska, — wniosły język niemiecki do nabożeństwa kościelnego. Z biegiem lat, pod panowaniem zwyrodniałych potomków Krzywoustego zapanowała na Szląsku prawdziwa anarchia. Bezustanne wojny poszczególnych książąt między sobą podkopały najzupełniej ich powagę, a podejmowane li tylko z pobudek materyalnych, dla rabunku i grabieży, przyczyniły się do zupełnego upadku moralnego i zdziczenia zwłaszcza szlachty szląskiej, która i pod tym względem biorąc wzory z szlachty niemieckiej uprawiała rzemiosło zbójeckie po drogach i lasach nie gorzej, jak niemieccy „raubritterzy“. Lud polski gnębiony i wyzyskiwany na korzyść obcych przybyszów patrzał na to wszystko, nie widział nigdzie idealniejszych motywów i celów, więc musiał uledz ogólnemu zepsuciu. I w Polsce w owym już czasie zaczął się ucisk ludu wiejskiego porówno z wzrostem potęgi stanu szlacheckiego, ale tej szlachcie polskiej nie brakło i stron prawdziwie idealnych, które znów pośrednio oddziaływały dodatnio na lud wiejski i mieszczan. Lud w Polsce widział u panów swoich obok częstego wyuzdania moralnego także poświęcenie wielkie dla wiary i ojczyzny, patrzał na to jak pan jego rzucał w chwilach potrzeby dom i rodzinę, poświęcał fortunę dla obrony granic kraju, i to znów bezwiednie i w jego sercu wytwarzało i utrzymywało uczucia wznioślejsze. Lud szląski nie miał przykładów takich i dziwić się tylko można, że ocalałe jego resztki zachowały po dziś dzień poziom moralny, umożliwiający wskrzeszenie w jego sercu tak wzniosłej idei, jaką jest idea narodowa, i pokochanie tej idei ponad korzyści materyalne, które możeby dla niego wynikły z zupełnego zniemczenia.

Ma się rozumieć, że w takich stosunkach lud szląski musiał zupełnie zasklepić się w sobie, boć dwie wyższe warstwy społeczne, zniemczona szlachta i niemieckie mieszczaństwo, zajmowały względem niego wręcz wrogie stanowisko. Więc stał się ostrożnym, — jak to zwykle bywa u ludów gnębionych, — w zdradzaniu myśli i uczuć swoich i podejrzliwym w obec każdego, kto nie należał do ludu. To usposobienie pozostało po dziś dzień główną właściwością jego charakteru. Twarda walka o byt wobec coraz to nowych ciężarów nakładanych na barki jego przez książąt, urzędników książęcych i szlachtę nauczyła go cierpliwości i pracowitości, a od Niemców przejął trzy inne zalety: wytrwałość, chłodną rozwagę i oszczędność. Z wyjątkiem jednostek, w których natura słowiańska w pierwotnej utrzymała się czystości, lud szląski nie łatwo da się przekonać, nie łatwo się zapala do nowych dla niego spraw i pojęć, jest w sprawach takich, zanim się o ich słuszności przekona, chwiejny wielce i każdą myśl nowa, zaszczepiona w umysł jego, chłodnemu poddaje rozumowaniu. Więc trudno wymagać, aby lud z takiem usposobieniem od razu rozgorzał ognistą miłością do matki Polski, — tem mniej, że on tej matki nie zna jeszcze wcale, albo zna ją tak, jak mu ją w szkole opisali pedagodzy-germanizatorzy.

Lud polski na Szląsku z chęcią czytuje powieści na tle dawnych dziejów polskich, zwłaszcza na tle bojów tatarskich i tureckich, (jednostki z pośród niego entuzyazmują się nawet do bohaterów polskich), cieszy się on, że to „Polacy“ tak walecznymi byli, ale nigdy nie powie „nasi!“ Trudno! Pomiędzy Polską dawniejszą, niezależną a Szląskim stoi murem pięć wieków rozłąki, wojen bratobójczych, zapomnienia i obcych wpływów Co te wieki sprawiły, wieki tylko zdołaja naprawić. Od razu ani przez lat kilka zmienić się to nie da. Przeszłości naszej, przeszłości Polski niezależnej lud szląski za swą przeszłość uważać nie może, bo nią nie była. Lud szląski opuszczony przez swą szlachtę, przywykł siebie samego tylko uważać za społeczeństwo całe, za cały narod, ma przed oczami tylko swoje społeczeństwo chłopskie, więc nie dziw też, że starej Polski szlacheckiej nie pojmuje wcale. Objawia się to mianowicie u nielicznej polskiej inteligencyi szląskiej. Ją razi nawet owa Polska szlachecka, nie może ona dopatrzeć się w niej stron dobrych, jeno widzi w niej to, czem ją straszono jak widmem złowrogiem w szkołach, pogwałcenie praw całego narodu na korzyść jednego stanu. A gdy się już pozbędzie tych uprzedzeń, gdy pod wpływem zrozumialszych dla niej arcydzieł literatury polskiej, cieplejsze uczucie dla tej Polski zrodzi się w jej sercu, wtedy znów mrozi ją pytanie: A czemuż to oddaliście nas na pastwę obcym! jakże przez tyle wieków mogliście o nas zapomnieć?“

Zaprzeczyć się wprawdzie nie da, że nie braknie między nami jednostek, które przeszłość Polski sercem a nie rozumem mierzą, które szukają w niej tego ciepła, jakie płynie z tradycyi narodowej, tego ciepła, którego sami nie posiadali, a które do rozgrzania się do dalszej

wytrwałej walki o idealne skarby narodowe tak koniecznie jest potrzebne, ale są to jednostki tylko. Być może, że naliczylibyśmy ich dziś już kilka tysięcy, — przyznać też trzeba, że te jednostki odgrywają u nas rolę apostołów, ale bądź jak bądź cała masa ludu dla Polski przeszłej, minionej, jest i pozostanie długo jeszcze obojętną.

Inaczej się rzecz ma co do Polski teraźniejszej. Poczucie polskości Górnoszlązaka tkwi głównie w jego przywiązaniu do języka ojczystego. I temu zaprzeczali niekiedy ludzie, którzy po raz pierwszy z Górnoszlązakami się zetknęli, bo pozory przeciwko temu zdawają się przemawiać. Przeciętny Górnoszlązak lubi się popisywać znajomością języka niemieckiego, często nawet, gdy kto z inteligencyi, jemu osobiście nieznany, zagadnie go po polsku, on po niemiecku odpowie; wina to pięciowiekowej germanizacyi i smutnych stosunków dzisiejszych. Niezliczone bywały i bywają wypadki, w których inteligencya niemiecka używała i używa języka polskiego tylko dla przedrzeźniania i wyśmiewania polskiego chłopa lub mieszczanina, iż za odpowiedź polską sypią się szkalowania i wyzwiska nawet. Trzeba wiedzieć, jakie upokorzenia i przykrości spotykają polskich Górnoszlązaków ze strony niższych urzędników państwowych, rekrutujących się jak wiadomo, przeważnie z wysłużonych podoficerów, za używanie mowy polskiej w stosunkach z władzami, ba, już za samą nieznajomość języka niemieckiego. Inteligencyi polskiej jest przytem na Górnym Szląsku tak mało, że i po dziś dzień znaczna część ludu wie tylko ze słuchu, iż są także „panowie“, którzy po polsku „rządzą“ (mówią), i się za Polaków uważają, ale takich panów na oczy nie widziała. Lud szląski, jak już powiedzieliśmy powyżej, jest bardzo ostrożny i podejrzliwy, i dla tego, nie znając interpelującej go po polsku osoby, aby uniknąć możliwych nieprzyjemności, woli odpowiedzieć po niemiecku, jeźli naturalnie włada tym językiem. Wprawdzie ucisk języka polskiego zaczyna i na Górnym Szląsku wydawać owoce swoje, naturalnie inne, jak się rząd spodziewa, bo coraz więcej mnożą się między ludem naszym jednostki, które tem pragną zdobyć większy szacunek dla języka swego, iż nawet na niemieckie pytania odpowiadają po polsku. — Atoli są to jednostki, ktore jeszcze ogólnej fizyognomii dzisiejszego położenia smutnego zmienić nie zdołały.

Niechże krótkie objaśnienie powyższe wystarczy na uniewinnienie ludu naszego i na zaprzeczenie twierdzeniom tych, ktorzy z takich pozorów wysnuwają wnioski niewłaściwe i nieuzasadnione. Zapoznajcie się Panowie bliżej z ludem naszym, przemówcie mu do serca, zaskarbcie sobie zaufanie jego, a roztaje przed wami i przekonacie się, jak gorąco kocha on język polski i braci jednego języka. Gdy bowiem się przekona, że ma przed sobą także „prawego“ Polaka, wnet otworzy serce swoje, i skarżyć się zacznie na trapiącą go niedolę i nieraz ze łzą w oku powie wam, jak się szczęśliwym czuje, iż poznał polskiego „panoczka“, co jeszcze mową ojczystą nie pogardził. Przypatrzcie się tylko ludowi, gdy przypadkiem słucha czysto polskiego kazania jakiego przez Szląsk przejeżdżającego księdza polskiego. Całą duszę jego ujrzycie skupioną w słuchu i wzroku, w oczach łez pełno, a nie tyle to słowo Boże wywołuje to rozrzewnienie, ile czyste dźwięki mowy ojczystej, coraz rzadsze niestety w kościołach naszych. Na tem też polega głównie niezmienny pociąg, jaki wywierał na Szlązaków naszych Kraków pobliski. Toć kościołów i miejsc odpustowych i u nas nie braknie. Księża niechętnie nieraz patrzą na te wędrówki swych parafian do Krakowa, ale poczciwych wiarusów naszych ciągnie tamdotąd magnetyczna siła, która łamie wszelkie przeszkody i trudności, siła czystych dźwięków mowy polskiej.

Nieprawda też jest, jakoby język ludu naszego był już tak bardzo popsutym, iż Polakowi z innych dzielnic zrozumieć nas trudno. Tylko w miastach i w pobliżu miast zmięszał się u nas język polski z niemieckim tak, że utworzyła się gwara pośrednia, tak zwane „wasserpolnish“, — ale zajrzyjcie, Panowie, dalej do miast, tych centr niemczyzny, oddalonych wiosek naszych, a usłyszycie wyrazy i formy, jakby żywcem ze Skargi, Reja i Kochanowskiego wyjęte. Rzecz naturalna, że język nasz, usunięty ze szkół, nie pielęgnowany przez ludzi wykształconych, zachował niekiedy średniowieczną rubasność, że braknie ludowi wiele nazw polskich na rzeczy pojęcia, jakie nam dały wieki ostatnie, ale właśnie niezmierna gorliwość, z jaką lud nasz stara się przyswoić sobie z książek i gazet te brakujące mu wyrazy polskie, dowodzi najlepiej, że język swój miłuje i to szczerze miłuje i że pragnąłby tak go wydoskonalić, iżby się zupełnie mógł obyć bez pomocniczych wyrażeń niemieckich. Wiele zwyczai staropolskich i słowiańskich z biegiem wieków pod parciem niemczyzny wyginęło u nas zupełnie, ale język pozostał. Około języka tego skupia się dziś całe życie duchowe ludu naszego, jest to ostatni klejnot z bogatej spuścizny po ojcach, ostatnia nić wiążąca nas z macierzą i z przeszłością naszą, z ową zamierzchłą wspólną przeszłością pod pierwszemi Piastami. Język też polski jest dziś i pozostanie na zawsze ogniwem nierozerwalnem, łączącem nas z wami, język ten spoi znów odłam nasz z macierzą, a wspólne nasze narodowe interesa, wspólna nasza niedola, dokonają reszty. Nie żądajcie więc od nas, bracia Wielkopolanie, abyśmy się entuzyazmowali dla przeszłości, która ciężko w obec nas zawiniła, dla ludzi, którzy, jak Kazimirz Wielki, w waszem mniemaniu otoczeni są aureolą wielkości, ale którzy nas wydali na pastwę niemczyźnie, nie sądźcie z braku entyzyazmu dla tej przeszłości, iż nie chcemy być Polakami. Nie! Zbliżcie się pojęciami do nas, poznajcie nas bliżej, a przekonacie się, że tą samą, co wy, miłością tchniemy dla naszej wspólnej ojczyzny i dla tej pięknej mowy naszej, która przecież jest najwybitniejszem znamieniem narodowości. Co było, to minęło bezpowrotnie. I dla was byłoby lepiej, gdybyście więcej o przyszłości aniżeli o przeszłości myśleli. Rozerwani w przeszłości podajmy sobie dłonie i wspólnemi siłami stwórzmy sobie przyszłość wspólną!

Myliłby się też, ktoby sądził, że germanizacya Szląska w przeszłości postępowała torem spokojnym, że lud polski bez oporu poddawał się zalewającej go powodzi. Bogu jedynemu wiadomo, ile u nas łez i krwi z tej przyczyny płynęło. Dla zrozumienia owej wzniosłej chwili dziejowej, którą wam przedstawić wziąłem sobie za zadanie, trzeba znać przynajmniej pobieżnie wszystkie momenta walki polszczyzny z niemczyzną. Wspomnienia ich chowają się dotychczas przeważnie po archiwach lub mniej znanych monografiach. Więc w następnym artykule pokrótce wam opowiem te krwawe dzieje walki naszej w obronie narodowości i języka, której początki sięgają XIII wieku.

POLITYKA.

Stosunki partyjne Czech.

I.

Niespełna sześć milionów Czechów zamieszkuje Czechy, Morawę i Szląsk. Obok Czechów, stanowiących większość ludności tych prowincyi Austryi, mieszka przeszło trzy miliony Niemców.

SVEN LANGE.

ENGELKE.*)

Tłomaczyła **Marya L.**

Asesor Jerzy Bergström nie mógł sobie dokładnie zdać z tego sprawy, jak to się stało, że się zaręczył — lecz z dokonanego faktu niezmiernie był zadowolony. Doznawał uczucia spokojnej radości na myśl o szczęśliwem przybiciu do portu spokojnego, od burz zabezpieczonego. Tembardziej, że syt już był wszelkich rozkoszy i przyjemności życia, jakich Kopenhaga, młodemu człowiekowi z dobrem wychowaniem i majątkiem dostarczyć może. Znał też wszystko i wszystkiego już kosztował i nie obce mu były tajemnice rozkoszne „chambres séparées“, — przedmiot marzeń młodzieńczych lat jego. Dzięki autorstwu pewnej farsy, grywanej w jednym z drugorzędnych teatrów, — miał wstęp i za kulisy, gdzie był uczestnikiem wielu wesołych przygód. Teraz jednakże, syt już był tego wszystkiego, lecz nie przesycony bynajmniej. Używał on życia rozsądnie, a chociaż spijał słodycze jego wielkiemi haustami, czynił to nie nadmiarę, tak, że bez wstrętu, bez gorzkich wyrzutów sumienia, wstecz spoglądać może. Jest zdrów na ciele i duszy, a życiem na tyle nie znużony, że dobra książka, piękne dzieło sztuki, a nawet teatr dawniejszego dlań uroku dotąd nie straciły. Pod jednym tylko względem nieśmiertelna jego dusza wielki uszczerbek poniosła: dawniej posiadał on niezwykłą fantazyą w tworzeniu i wyszukiwaniu delikatnych przysmaków i jego wyszukane obiady znane były w mieście całem. Ten jego przymiot z biegiem czasu znacznie osłabł — stał się teraz w ogóle mniej w potrawach wybrednym. Z udanym smutkiem przyznawał się do tego, lecz przypisywał to, jak wiele innych rzeczy, ogólnym niwelującym, proletaryzującym dążnościom czasu. Mała ta zmiana w jego osobie nie przyprawiała go też bynajmniej o smutek; ogólnie bowiem biorąc, nie miała ona wielkiego dlań znaczenia. Nie było też powodu do niezadowolenia z siebie: zwłaszcza gdy porównywał się ze swymi towarzyszami lat młodzieńczych. A czynił to dla tego dość często.

Pamiętał ich wszystkich wybornie; twarze ich zupełnie wyraźnie przesuwały się przed wyobraźnią jego, niby widma rozwiewane. Ale były to widma, żal budzące czasem, często zaś uśmiech politowania. Gdzie też oni wszyscy?

Poszli w świat daleki, po którym rozsypali się jak garść piasku. Losy kilku znane mu były. Kilku umarło, inni wywędrowali do Ameryki, lub gdzieś w najodleglejsze kraju zakątki. Niektórzy poświęcili się dziennikarstwu i rozwijają pełną błogich skutków działalność społeczną, której nieraz wzgarda dla samego siebie towarzyszy. Jeszcze inni wznieśli się w swej kramarskiej moralności tak wysoko, że z całym zapałem występują teraz i walczą przeciwko postępowym dążeniom nowoczesnym. Jeden został nawet misyonarzem wśród chłopów... itd. itd. Zestawiając więc siebie z tymi wszystkimi, dochodził do wniosku, że jakoś z nim nie najgorzej się działo. Należał on do kategoryi ludzi, którym wiedzie się wybornie, którym okoliczności stale sprzyjają. Nawet piękne oblicze jego — o ciemnych oczach i przepysznych zębach, którym tyle tryumfów zawdzięczał, — pozostało świeżem niezmienionem. Lecz i przekonania jego żadnej nie uległy zmianie. Pozostał wiernym radykalizmowi lat swych młodzieńczych. Nigdy nie miał zwyczaju ukrywać swych zapatrywań, jakiemiby one były — tak też i teraz czynił, chociaż nie odczuwał ich już tak żywo i z takim nie bronił zapałem. Jako człowiek wolny, niezależny, ze zapewnioną rentą, mógł z całym spokojem oddawać się swym upodobaniom.

Do tych upodobań należało pewne abstrakcyjne podziwianie ludzi biorących gorący udział w codziennej walce o sprawę, która, zdaniem jego, jedynie była słuszną. Z szczególnem jednak zamiłowaniem drwił sobie z owej mało-

*) Sven Lange, autor niniejszej noweli jest synem znanego i po za granicami Skandynawii lekarza, profesora Karola Lange, a wnukiem Palludaua Mullera, autora „Adam Homo“. Nowela, którą tu w przekładzie podajemy, jest pierwszym utworem młodego autora, który w kraju swym z niezwykłem na wstępie zaraz, spotkał się uznaniem. Przyp. Red.

Ludność czeska otoczona jest prawie ze wszystkich stron zwartą masą Niemców, którzy w ciągu kilku stuleci pozbawili tubylców słowiańskich granic naturalnych, odrzuciwszy ich od gór. Mało tego: i na czysto czeskiem terytoryum istnieją dość znaczne kolonie niemieckie. Trzeba pamiętać również, że miasta czeskie zwłaszcza większe, obfitują w ludność niemiecką, do której zaliczają siebie i żydzi. Jeśli dodamy, że prawie cały wielki przemysł tak samo jak i znaczna część wielkiej posiadłości ziemskiej znajduje się w ręku Niemców, to od razu zrozumiemy, dla czego walka z germanizacyą zajmuje tak ważne miejsce w życiu narodu czeskiego.

Ta to walka z grożącym ze wszech stron żywiołem niemieckim napiętnowała cały charakter politycznej i społecznej działalności Czechów. Potrzeba bronienia na każdym kroku indywidualności narodowej wyrobiła u Czechów energię, wytrzymałość, pracowitość i przedsiębiorczość. Tocząc ustawiczną walkę z Niemcami, Czesi nie mogli oczywiście uchronić się od wpływu kultury niemieckiej i z czasem poczęli używać na swą obronę środków, przejętych od wrogów. W ten sposób na wzór niemieckich narodowych Turnvereinów powstał „Sokół“ czeski; niemiecki „Schulverein“ dał impuls do założenia „Maticy szkolskiej“; nawet teoretyczne zasady słowianofilstwa czeskiego zostały zaczerpnięte z dzieł... Niemca Herdera.

Rzecz całkiem zrozumiała, że u narodu, który był zmuszony w ciągu wieków walczyć o istnienie ze światem germańskim; idea solidarności i wzajemności słowiańskiej zbudziła się wcześniej niż gdzieindziej. Prawie każdy Czech marzy o połączeniu w jednę całość całej Słowiańszczyzny dla wspólnej walki z Niemcami. To zaś połączenie narodów słowiańskich przedstawia sobie Czech w formie najzupełniej fantastycznej, wcale nie licząc się z istniejącymi stosunkami słowianofilstwa weszło w krew Czecha i obecnie stanowi niemal integralną część jego poglądu na świat. Czech czuje się Słowianinem prawie więcej niż Czechem, przyczem słowianofilstwo jego, nie poparte znajomością spraw słowiańskich posiada jakiś naiwno-romantyczny charakter.

Kamieniem węgielnym słowianofilstwa czeskiego jest rusofilstwo. Nic też w tem dziwnego. Ponieważ wszystkie narodowości słowiańskie znajdują się przeważnie w położeniu daleko gorszem niż sami Czesi, wskutek tego oczy słowianofilów czeskich musiały się zwrócić ku jedynemu potężnemu państwu słowiańskiemu, odgrywającemu w Europie tak wybitną rolę.

Rusofilstwem jest przesiąknięty cały naród czeski, poczynając od inteligencyi, a na chłopach kończąc. Z tego jednak wcale nie wynika, że Czesi znają Rosyę. Bynajmniej. Rzeczywiście znających Rosyę nawet w kołach literatów i publicystów czeskich można na palcach policzyć. Mało tego, wśród Czechów możemy spotkać ludzi, którzy całkiem otwarcie powiadają, że nie chcą Rosyi poznawać, ponieważ to „mogłoby rozbić ich ideały słowiańskie“. W skutek tego w Czechach często spotykają się ludzie, nawet wśród inteligencyi, którzy są najmocniej przekonani, że pewnego pięknego dnia Rosya wypowie wojnę Austryi, uwolni Czechów z pod jarzma Niemców i spełniwszy ten akt „wzajemności słowiańskiej“, pozwoli Czechom czynić, co im się żywnie podoba. Prasa młodoczeska wszelkiemi siłami stara się podtrzymać u ludu tę nadzieję na pomoc Rosyi, używając rusofilstwa mas ludowych jak straszaka na Niemców i rząd austryacki, który w istocie boi się, lub też udaje, że się boi „panslawizmu“. Zwłaszcza czynne są w tym kierunku „Narodni Listy“, przedstawiające główny organ stronnictwa „wolnomyślnego“ (tak się nazywa urzędownie partya młodoczeska). Ten to dziennik „wolnomyślny“, stojący na stanowisku demokratycznem, mówiąc o stosunkach czeskich, przedzierzga się w entuzyastycznego obrońcę reakcyi i wstecznictwa, jeśli idzie o Rosyę. Mówiąc o Rosyi, usiłuje wyzyskać najmniejszą drobnostkę, byle tylko przedstawić Rosyę w świetle korzystnem. Ma się rozumieć, że jak najskrzętniej omija wszystko, coby mogło rzucić cień najlżejszy na państwo Romanowów.

Na szczęście naród czeski za daleko posunął się już w swym rozwoju, żeby agitacya podobna mogła mu zaszkodzić, jak to widzimy u Słowaków węgierskich, których inteligencya w nadziei na pomoc Rosyi, całkiem opuściła ręce i nic nie robi dla swego nieszczęśliwego narodu, pomimo warunków, bardzo sprzyjających takiej pracy. Czesi, ufając w pomoc Rosyi, niemniej pracują z całych sił i dzięki swej energii osięgają bardzo wiele.

Maksymum żądań, przy spełnieniu których według mniemania Czechów, rozwój narodowy narodu czeskiego będzie zagwarantowany, wyraża się w dążeniu do wznowienia t. zw. „czeskiego prawa państwowego“. Nie wyjaśniwszy sobie znaczenia czeskiego prawa państwowego, nie możemy zrozumieć ani stosunku Czechów do Niemców, ani stosunku prowincyi czeskich do Austryi. Czeskie prawo państwowe jest kamieniem węgielnym programów wszystkich stronnictw czeskich; nawet u socyalistów, którzy zawsze oświadczali się przeciwko prawu państwowemu dość energicznie, ujawnia się obecnie zwrot ku niemu.

Na zasadzie czeskiego prawa państwowego Czechy, Morawa i Szląsk powinny stanowić jedną nierozdzielną całość państwową, w kształcie samodzielnej prowincyi państwa austryackiego. Przytem każda z wyżej wzmiankowanych prowincyi ma korzystać z jak najszerszej autonomii i zupełnej samodzielności w sprawach wewnętrznych. Ogniwem, łączącem te trzy prowincye, jest osoba króla czeskiego i wspólne prawo obywatelstwa, t. j. prawo, na mocy którego obywatelstwo, uzyskane w jednej z prowincyi, ma znaczenie i w dwóch pozostałych. Na zasadzie czeskiego prawa państwowego powinien istnieć jeden, ogólny sejm jeneralny, składający się z przedstawicieli wszystkich trzech prowincyi. Do sejmu jeneralnego należy obiór króla i wszystkie sprawy, całego państwa czeskiego dotyczące*). Sprawy wewnętrzne każdej prowincyi ulegają kompetencyi sejmów prowincyonalnych. Na mocy czeskiego prawa państwowego oba języki t. j. czeski i niemiecki korzystają z zupełnego równouprawnienia. Król rozporządza finansami, bije monetę i ma prawo zwołać pospolite ruszenie dla obrony od niebezpieczeństwa, zagrażającego państwu czeskiemu i jego władcy, a od roku 1820 dla obrony i wszystkich innych prowincyi monarchii Habsburgów. Oto są główne rysy czeskiego prawa państwowego.

Gdyby się Czechom udało dopiąć swego celu t. j. nakłonić cesarza austryackiego do wznowienia czeskiego prawa państwowego, to w takim wypadku osiągnęliby wielkie korzyści pod każdym względem, zwłaszcza pod względem ekonomicznym, ponieważ wszystkie dochody prowincyi czeskich byłyby używane prawie wyłącznie na zaspokojenie potrzeb miejscowych. I pod względem narodowym osiągnęliby Czesi bardzo dużo, ponieważ wówczas szkolnictwo zależałoby od nich bezpośrednio i wszelkie tendencye germanizatorskie byłyby całkiem sparaliżowane. Rozumie się, że Niemcy czescy są zasadniczymi przeciwnikami wznowienia czeskiego prawa państwowego, ponieważ po spełnieniu żądań Czechów znaczenie pierwszych w prowincyach czeskich wielce się uszczupli. Nie będą już odgrywali roli — gospodarzy kraju, korzystających z poparcia rządu centralnego; nie będą już nawet pewni tego, że większość czeska zechce trzymać się litery

*) Po raz ostatni zgromadził się sejm jeneralny w r. 1836.

---

mieszczańskiej płytkości i głupoty, które w drogiej jego ojczyznie wszystkie dziedziny życia publicznego coraz więcej opanowywały.

O tyle byłoby mu dobrze zupełnie. Lecz w miarę zrywania dawnych przyjacielskich stosunków wzrastała w nim nieprzezwyciężona niechęć do nawiązywania nowych. Ograniczoność, głupota ludzi, z którymi się schodził, irytowała go, — w towarzystwie zaś ludzi przeciętnych, nudził się szalenie, dla tego właśnie, że byli takimi, jakimi zazwyczaj ludzie bywają... Gdy zaś napotkał człowieka wybitniejszego, unikał go mimowoli, zapewne dlatego, że w stosunku do kogoś nie chciał być niższym; mając zaś pewne wątpliwości, co do równości w stosunku wzajemnym, wolał wycofać się zawczasu. Tak więc, chociaż z wielu ludźmi obcował, z żadnym nie zżył się bliżej przez szereg lat, a z czasem żyjąc samotnie, nabierać począł wiele nawyknień starego kawalera. Wszyscy, nie wyłączając jego samego, myśleli, że tak już do końca życia pozostanie, aż tu niespodzianie zapoznał się razu pewnego, z przyszłym teściem swoim, Dr. Pauli, docentem uniwersytetu kopenhagskiego.

Dr. Pauli, w średnim wiekn, był człowiekiem, który dla duńskiej literatury niemałe położył zasługi; nazwisko jego, dzięki kilku dziełom filozoficznym i estetycznym, zaszczytnie było znanem. Sam chętnie zwykł mówić o swoich dziełach; z szczególnem jednak upodobaniem zatrzymywał się nad małą swą rozprawą, zatytułowaną: „Spinoza jako optyk“, w niej bowiem, zdaniem jego, najlepiej odzwierciadlały się własne jego poglądy. Wykazywał on w rozprawie tej, na wskroś oryginalnej, że głównym powodem skłaniającym starego mistrza do poświęcenia się optyce, była jedynie i wyłącznie dążność jego umysłu i chęć badania wszystkiego przez szkła jasne, przejrzyste...; obok zaś tego zbijał w sposób niezwykle dowcipny z ledwie dostrzegalną ironią, ogólne twierdzenie, jakoby Spinoza jedynie dla uniknięcia śmierci głodowej rzemiosłem tem się trudnił. Opierając się na wielu cytatach z dzieł wielkiego filozofa, dowodził, że wszystkie tegoż pisma wyraźnie o jego zajęciu świadczą, co więcej, że zrozumiane być mogą tylko na tej podstawie. Względu więc tego nie należy pomijać w przyszłości przy badaniu i krytycznem rozpatrywaniu poglądów Spinozy.

Dzieło to swego czasu ogólne wzbudziło zainteresowanie, a jako utwór docenta nniwersytetu, nie mogło być naturalnie milczeniem pominięte. Lecz to mu nie wystarczało. Ambicya jego nie była jeszcze zaspokojoną. Sądził, że w świecie filozoficznym, zrobi książka jego, niezwykłe wrażenie i nieznane dotąd, nowe wskaże drogi krytykom Spinozy, że stanowić będzie niejako punkt wytyczny dla późniejszych dzieł krytycznych. Nawet w przedmowie do rozprawy, tak wielkie wypowiedział nadzieje, lecz zawiódł się w swoich oczekiwaniach. Książkę przełożono nawet na język niemiecki, lecz znaczenia europejskiego nie nabrała nigdy. W kilka lat później wydał więc rozgoryczony dzieło o męczennikach wiedzy, którego sztuczny patos i goryez nietajona zanadto przypominały czytelnikom osobiste autora zawody i żale.

Książki tej o mało, ze całem swem stanowiskiem nie przypłacił; zawierała ona wiele zapatrywań wielce postępowych, zjednała więc sobie przychylną ocenę prasy radykalnej, której współpracownicy uczuli się blizko z omawianymi w książce męczennikami spokrewnieni. To zaś wywołało wielkie niezadowolenie w ministerstwie, które nie mogło zezwolić na rewolucyjne przekonania swych profesorów uniwersyteckich. Miało to ten skutek, że Dr. Pauli postanowił na przyszłość swe przekonania zachowywać dla siebie, — o ile były rewolucyjne, — te zaś, które na wykładach lub odczytach głośno wypowiadał, w zupełnej były zgodzie z poglądami panującymi u góry. No i nie minęła go nagroda: w krótkim czasie został kawalerem orderu.

Dr. Pauli małego był wzrostu; ruchliwy, wielomówny, bardzo towarzyski, — a chociaż trochę złośliwy, dla swego dobrego humoru wszędzie mile był widzianym. Zwłaszcza lubianym był tam, gdzie niezupełnie dobrze go znano; najczęściej bowiem umiał on złośliwe swe uwagi wypowiadać tak, że dotknięty nie mógł zmiarkować, czy autor miał intencyą dokuczyć mu dotkliwie, choć intencya ta w rzeczy samej istniała.

Co do jego zdolności jako powagi naukowej były zdania podzielone. Przeciwnicy zwali go zwykłą miernotą, której jedyną siłą był t. zw.

drawa i nie pocznie uciskać Niemców. Że dużo Młodoczechów zapatrują się na wznowienie czeskiego prawa państwowego jako na środek do czechizacyi czeskich, morawskich i szląskich Niemców, jak również i Polaków w Cieszyńskiem, nie ulega najmniejszej wątpliwości, — ale, zdrowo myśląca część narodu czeskiego wcale o tem nie myśli, tem bardziej, że czechizacya Niemców nie jest fraszką. Na razie jednak czeskie prawo państwowe jest tylko marzeniem, bo rząd w przekonaniu, że prawo to stanie się biczem na Niemców i czynnikiem rozwojowym dla Słowiańszczyzny całą siłą opiera się takiemu ustępstwu.

II.

W r. 1890 większość okręgów wyborczych wiejskich i znaczna część miejskich wybrały do sejmu praskiego Młodoczechów. W roku następnym, podczas wyborów do parlamentu wiedeńskiego, Młodoczesi odnieśli walne zwycięztwo prawie we wszystkich okręgach wyborczych. Naród czeski odwrócił się od swych dotychczasowych przewodników, i w ten sposób stronnictwo staroczeskie naraz straciło prawie zupełnie wszelkie znaczenie. Przyczyna klęski stronnictwa staroczeskiego tkwi w jego ciągłych niepowodzeniach parlamentarnych, w jego często oportunistycznej taktyce, jak również i w tej krańcowej nietolerancyi, z którą odnosiła się względem swych przeciwników politycznych. W ten sposób np. fakt nieprzyjęcia do klubu czeskiego czterech posłów młodoczeskich mocno zaszkodził Staroczechom i właściwie mówiąc, od tego czasu poczyna się niezwykłe powodzenie Młodoczechów, zakończone ich zupełnym tryumfem. Stronnictwo staroczeskie, nie posiadające ani jasno określonego programu, ani rozumiejące kwestyi społecznych, wciąż kompromitowało się w oczach swych wyborców, stojąc po stronie rządu nawet przeciwko małej grupie posłów młodoczeskich. Ci ostatni umiejętnie skorzystali ze swego położenia i stawiając w parlamencie takie wnioski, za którymi w żaden sposób nie mogli głosować Staroczesi, doszczętnie zdyskredytowali stronnictwo staroczeskie w oczach narodu.

Wciąż wzrastająca świadomość polityczna klas panujących, bliższe zapoznanie się z kwestyami społeczno-ekonomicznemi zmusiły Młodoczechów do przerobienia programu i włączenia doń całego szeregu postulatów, których nie posiadali Staroczesi. Dzięki wpływowi t. zw. realistów, program młodoczeski, ogłoszony w r. 1891, jak odezwa wyborcza, wywarł jak najlepsze wrażenie i spotkał się z ogólną sympatyą. Żądania takie, jak powszechne głosowanie, podatek postępowo-dochodowy, rozszerzenie wolności prasy i zgromadzania się, unarodowienia szkolnictwa i czeskie prawo państwowe zdobyły Młodoczechom powszechną sympatyą i zapewniły im zwycięstwo podczas wyborów. Masa wyborców składająca się z najróżnorodniejszych elementów, oddała swe głosy Młodoczechom, przypuszczając, że nareszcie po długiej dobie działalności oportunistycznej stronnictwa staroczeskiego w parlamencie zjawią się młode i świeże siły, które w drodze konsekwentnej polityki opozycyjnej zdołają wywalczyć u rządu spełnienie woli całego narodu.

W istocie w parlamencie ukazały się świeże, nowe siły, które od razu zajęły stanowisko opozycyjne, ale oto upłynęły już cztery lata, a zwycięstwo Młodoczechów nic a nic nie dało narodowi czeskiemu. Dopóki liczba Młodoczechów w parlamencie była bardzo nieznaczna, sprawiali oni jako zdecydowani opozycyoniści najlepsze wrażenie na opozycyjnie nastrojonych masach, jednakże, skoro tylko władze dostały się do ich rąk, natychmiast pokazało się, że rola samodzielnych czynników politycznych przewyższa ich w siły. Szeroki program Młodoczechów pozostał martwą literą, a elokwentne oświadczenia i gromkie patosy posłów młodoczeskich ani o jednę jotę nie zmieniły położenia narodu czeskiego. Jak się okazało, pomiędzy Młodoczechami nie było żadnego uzdolnionego polityka. W gruncie rzeczy sami Młodoczesi mało się różnili od Staroczechów pod względem zasadniczych poglądów polityczno-społecznych i realiści, pod wpływem których zostały przyjęte do programu młodoczeskiego radykalne żądania charakteru społeczno ekonomicznego, przysłużyli im się w sposób wcale nie pożądany. Młodoczesi, przynajmniej większość ich, sama nie wie obecnie, co ma począć z tak radykalnym programem. Widzą oni, że za dużo przyjęli na siebie. Są w istocie takimi samemi oportunistami, jak i Staroczesi, a tu program zmusza ich do przedsiębrania kroków, mających dość ryzykowny charakter. Przy tem wszystkiem są oni tak gnuśni i opieszali, że prawie nic nie czynią dla rozpowszechnienia swych idei pomiędzy ludem. Wskutek tego naród pomału zaczyna rozczarowywać się w swych kierownikach i przestaje wierzyć ich gromkim frazesom. Już podczas ostatnich wyborów dopełniających można było zauważyć pewną apatyą wyborców, którzy już w mniej licznym poczcie brali udział w głosowaniu. Ożywiło to nadzieje stronnictwa staroczeskiego, które na zjeździe swym oświadczyło, że będzie energicznie przygotowywać się do wyborów następnych. Jednakże trudno przypuszczać, aby Staroczesi odnieśli chociażby w kilku okręgach zwycięstwo; są oni zanadto skompromitowani i swą dawną polityką i teraźniejszym swym sojuszem ze szlachtą i klerykałami.

Prawdopodobnie przy najbliższych wyborach Staroczesi, przedstawiający w sejmie praskim dość liczną grupę, znikną z widowni politycznej. Stronnictwo młodoczeskie zwycięży na całej linii, ale zwycięstwo to może być ostatniem. Obecnie Młodoczesi mogą jeszcze twierdzić, że im w sejmie przeszkadzają Staroczesi; skoro jednak ci ostatni ustąpią, wówczas nicość polityczna przywódzców stronnictwa młodoczeskiego okaże się w całej swej nagości. Bezowocność polityki młodoczeskiej przygotowuje grunt dla prądów, które nic przyjemnego na przyszłość Młodoczechom nie wróżą. Z jednej strony Młodoczechom zagraża ruch socyalistyczny, który w Czechach, jako w kraju o bardzo wysoko stojącym przemyśle fabrycznym, rozwinął się potężnie; z drugiej włościanie, dążący do utworzenia własnej chłopskiej partyi, już obecnie otwarcie występują przeciw Młodoczechom. Podobną zakusą, acz już w daleko słabszym stopniu pojawia się pomiędzy rękodzielnikami, nareszcie bodaj czy nie najniebezpieczniejszym rywalem na razie staje się t. zw. „ruch postępowy“, który wytworzył się głównie pod wpływem realistów.

Realizm przedstawia tak charakterystyczne zjawisko życia czeskiego, że musimy poświęcić mu dłuższą wzmiankę. Prąd realistyczny przejawił się najpierw podczas głośnych sporów o autentyczność rękopisów Królodworskiego i Zielonogórskiego, które rzekomo miały świadczyć o wysokim rozwoju kultury czeskiej w dobie zamierzchłej przeszłości. Już wkrótce po ogłoszeniu tych rękopisów autentyczność ich była podana w podejrzenie, ale stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi tej odnosi się stosunkowo do czasu bardzo niedawnego, mianowicie do drugiej połowy dziewiątego lat dziesiątka. Grono profesorów na uniwersytecie czeskim w Pradze dowiodło na podstawie ścisłych badań historycznych, socyologicznych, filologicznych i chemicznych, że oba rękopisy są podrobione w „patryotycznym“ celu Ci właśnie profesorowie stanowili pierwotną grupę realistów, których działalność ograniczała się początkowo do podnoszenia spraw wyłącznie naukowo-literackich. Z biegiem czasu realiści wystąpili i na widowni politycznej, kiedy trzej realiści (Masaryk, Kaizl i Kramarz) zostali wybrani do parlamentu.

Leon Wasilewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„ésprit“, i łatwy, bo powierzchowny sposób przedstawiania rzeczy. Dla przyjaciół był on przyjemnym, inteligentnym towarzyszem — a także obserwatorem znakomitym i stylistą świetnym. Sam o sobie mawiał często: „Jestem przecież — między wami mówiąc — jednym z najmędrszych w kraju naszym, ludzi“.

Z Bergströmem poznali się dziwnym trafem w nudnem jakiemś towarzystwie; siedząc obok siebie na kanapie, blizcy uśnięcia, przemówili przypadkowo do siebie słów parę. Po kilku zaś pytaniach i odpowiedziach rozwinęła się między nimi ożywiona rozmowa, rezultatem której było wzajemne przekonanie, że mimo różnicy wieku doskonale się z sobą zgadzają. Pauli zachwycony był śmiałemi uwagami młodego człowieka, które budziły echo w duszy jego własnej, gdzie dla 3000 koron pensyi najświętsze jego przekonania ukryte spoczywać musiały. Bergström zaś dumnym był z wdzięcznego słuchacza w osobie tak znanego człowieka i przepraszał go stokrotnie za niezbyt pochlebny-sąd o nim, jaki był sobie poprzednio wyrobił, nie znając go wcale.

Przy pożegnaniu uścisnął Pauli serdecznie rękę młodego człowieka, mówiąc:

— Ciekaw jestem, czy też zechcesz pan zajrzeć kiedyś do mnie: niezbyt u nas, co prawda, wesoło, uprzedzam, żona moja nieboszczka przyzwyczaiła nas do tego cichego życia. Czeka pana dobre *toddy*, cygaro po kolacyi, a oprócz tego rozsądna pogawędka ze starym człowiekiem, który niejedno już widział na świecie. Przyjdź pan, proszę. Mam też dorosłą córkę dwudziestoletnią, która się przy panu może rozweseli, — humoru bo nie brak ci mój panie. Córka moja jest dość miła, ale małomówna bardzo; zapewniam pana, że ani słowa do ciebie nie powie. Musiałem być jakimś duchem proroczym przejęty, nadając jej imię „Engelke“; najprawdopodobniej ma to usposobienie swoje od matki, która równie była milczącą... A więc oczekuję Pana?

Bergström ukłonił się nisko, obiecując przyjść niedługo. Niedługo też potem poszedł rzeczywiście. A po krótkim czasie począł bywać w domu ich codziennie; czuł się tu dziwnie dobrze w towarzystwie starego doktora i jego córki. Przepędzając długie wieczory na miłych pogawędkach z doktorem o rozmaitych literackich i politycznych kwestyach — przy szklance toddy i cygarach — był tak zadowolonym, że do końca życia swego nie życzył sobie chwil przyjemniejszych. Sądząc z rozmowy, rzadko zgadzali się z sobą, czuło się jednak jakąś tajemną harmonią, łączącą dwóch tych ludzi: dzięki jej najgorętsze nawet dysputy nabierały łagodniejszego odcieniu.

O młodziutkiej Engelce, niewiele przebywającej z nimi, nie mógł wyrobić sobie żadnego sądu: widział ją czasem przy stole. Ścigał jej ruchy spokojne, gdy krzątała się, podając, nalewając i krojąc. Główną cechą jej powierzchowności był spokój: miała ruchy i rysy spokojne, a w oczach wyraz zamyślenia. Była jasną blondynką o włosach prawie białych, o cerze różowej a tak delikatnej, że chwilami, zwłaszcza wieczorem przy lampie zdawała się należeć do zgoła innego świata. Cichą była, tak cichą, że lekkie tik-tak zegara ściennego hałaśliwem było w porównaniu z nią. Bergström coraz więcej poświęcał jej uwagi, pragnął bardzo poznać z bliska tę zamyśloną dziewczynę, ciekaw był, co też w jej główce kiełkuje? Lecz niełatwą było to sprawą!

— Ona jest prenafaelistyczną! — powiedział raz sobie, a wyrażenie to wydało mu się najodpowiedniejszem dla określenia wrażenia, jakie na nim sprawiła. Lecz dla czego? Niełatwo na pytanie to odpowiedzieć. Wszystko składało się na to: wrażenia takie sprawiały może jej suknie staroświeckie, niemodne, które zarówno w lecie jak w zimie nosiła. Białe lub jasno-błękitne, bez ozdób najmniejszych, nadawały postaci jej dziwnego wdźwięku. Nazwa ta stosowała się może do jasnych jej włosów, złotemi lokami spadających na czoło i uszy, przez co główka niezwykłego nabierała wyrazu. A może sprawiał to wdzięk całej postaci, jej ruchy, dźwięk głosu, cera, a nadewszystko uśmiech łagodny, odbijający się czasem w jej oczach, obok pewnej sztywności w zachowaniu — nie wiedział sam: zapewne wszystko razem.

— Ona działa na mnie jak ton, jeden delikatny, stłumiony ton skrzypiec, gdy drgając w powietrzu przez chwilę, z ciszą nocy się zlewa... — mawiał do siebie.

Dziwnie bladem i oderwanem było pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła. Nie mogło

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Z powodu policyjnej kampanii, rozpoczętej przeciw Towarzystwom polskim, zamieszcza „Orędownik“ (nr. 131) następujące uwagi:

„Dziwna to zaprawdę rzecz, że policya tak gorliwie występuje teraz właśnie przeciw polskim Towarzystwom. Publiczna manifestacya życia polskiego, jaka się objawia na polskich zabawach, majówkach, przedstawieniach amatorskich i balach, to doprawdy zanadto niewinna rzecz, nietylko nie szkodzi interesom państwa pruskiego, ale da się nawet z niemi pogodzić. Przez takie ograniczanie ograniczy się formę manifestacyi życia, ale ducha polskiego nie osłabi się i świadomości obywatelskiej w ludzie polskim się nie obniży.

Wszędzie i zawsze winniśmy bronić naszych praw przynależnych, choć nawet z góry wiemy, że to nadaremne. Najważniejszą rzeczą jednak jest to, żebyśmy sami siebie nie zaniedbali, żebyśmy samych siebie nie łudzili i dobrze widzieli, jakie jest nasze położenie. Ruch ludowy, ruch narodowo-obywatelski w wielkich masach naszej średniej i niższej klasy, to dopiero początek początku. Zrobiliśmy wielki krok, ale dopiero jeden. Przed sobą mamy prawie jeszcze wszystko do zrobienia, a siły nasze słabe, niewyrobione, doświadczenie choć twarde, ale nie długie. Zewsząd będziemy napotykali trudności i przeszkody, spekulujące na to, że się ruch narodowy, obywatelski w masach ludu polskiego — na Wschodzie — „in der Ostmark“, jak teraz Niemcy mówią, — da wstrzymać a następnie stłumić. Ruch ten tłoczy się dziś wązką ścieżyną między dwoma ścianami. Z jednej strony napór zwolenników politycznie dziś rozbitej partyi dworskiej, który znalazł w tych dniach swój świetny wyraz w odrzuceniu znanego wniosku posła Głębockiego przez Koło sejmowe i w rezolucyi tegoż Koła, tyczącej jawności obrad jego. Jedno i drugie świadczy o tem, że Koła nasze rezerwują dla siebie wszystko, a wyborcom i społeczeństwu pozostawiają stanowisko wiecznej bierności; że dają pośrednio sankcyą tej polityce, jaką prowadził w obu Kołach p. Józef Kościelski w ostatnich pięciu latach. Z drugiej strony pozostajemy pod naciskiem niezmiennego systemu pruskiego.

Będzie nam ciężko, droga nasza twarda i uporczywa będzie. Potrzeba nam więc spokoju, cierpliwości i rozwagi, by przetrzymać i znieść te wszystkie przeszkody; pójdziemy wolno, może żółwim krokiem, ale zawsze — naprzód, byleśmy się sami nie łudzili i nie zaniedbywali“.

W tym samym numerze donosi „Orędownik“ p. t. „Smutne wieści“:

„Podaliśmy w przedwczorejszym numerze o sprzedaży Podlesia Wysokiego przez p. Dziembowskiego z Roszkowa na kolonizacyą.

Nie jest to ani początek, ani koniec.

Rudnicz, który należy do p. Rutkowskiego, podano na subhastę, a mówią, że pan ten stara się także u komisyi kolonizacyi o sprzedaż. Gdyby to jeszcze chciano się ratować przed ruiną, nieszczęściem spowodowaną, ale mówią tu wszyscy, a i „Goniec“ już dawniej o tem wspominał, że tak nie jest i że Monaco stoi na usługach kolonizacyi i dla niej pracuje.

Również pójdzie na subhastę piękna posiadłość Żelice, należąca do p. Karola Nieżychowskiego“.

—

„Gazecie Opolskiej“ (nr. 45) nadesłano z Wrocławia odezwę następującą:

Rodacy!

Każdy naród ma swych sławnych mężów, którzy ognistemi słowy lub czynami szlachetnemi hartują duszę ludu, niby stal i dają podnietę i otuchę do dalszego życia i rozwoju narodowego. Są to mężowie, stojący na straży narodu.

Nasz naród szląski również odznaczył Bóg wielkimi ludźmi. prorokami, pieśniarzami, którzy wszystko poświęcili dla narodu i dobrej sprawy. Wśród najcięższej duchowej niewoli zesłał nam bohaterów, którzy całemi smugami rozsiewają pomiędzy nas iskry narodowego poczucia i kraj nasz, skazany od wieków na zniemczenie, odżywa coraz więcej, nabywa ducha coraz silniejszego i zostanie polskim, choćby jeszcze silniejszy tłok niewoli i znęcania się wywierano nań.

„Mowa ojczysta jest to największy skarb narodowy“, powiedział nasz niebogi Kapłan-Wajdelota Czesław Lubiński. Każdego prawego Szlązaka serce było pełne wdzięczności, każdy był przejęty na wskroś szacunkiem dla sędziwego kapłana pieśniarza, bezustannie pracującego nad rozbudzeniem ducha narodowego i uszlachetnieniem tegoż. Zgasło nam to serce wielkie. Jak potężnie kapłan ten ukochał naszą ojczystą polską mowę, obyczaje i ziemię, która go wydała, a była to staropolska szląska ziemia nasza, świadczą najlepiej piękne pieśni i utwory jego narodowe.

Był to kapłan potężny, był on prorokiem prawdy, wśród rozbestwionych dążności zaguby ojczystej gwary naszej, która coraz więcej odbija się o uszy naszych wrogów.

Cześć Tobie — Wielki Kapłanie! Pamięć Twoją chowa cały naród polski — to też prochy Twoje są dla nas relikwią.

Obowiązkiem naszym jest, należycie uczcić pamięć Twoją postawieniem pomnika Tobie — aby wszyscy wiedzieli, że żyjesz na zawsze w sercach naszych.

Pokażmy Rodacy, że i my umiemy to, co jest świętem, uświęcić i uszanować. Urządźcie pomiędzy sobą komitet, a wdowi grosz popłynie na ten cel“.

—

Do odezwy powyższej załącza „Gazeta Opolska“ komentarz następujący:

„Projekt jest usprawiedliwiony i wzniosły. Szan Korespondent nie wie jednak zapewne, że dla uczczenia zmarłego pieśniarza postanowiono już w dzień pogrzebu utworzyć fundusz imienia Czesława Lubińskiego i przyłączyć go do funduszu pomocy naukowej. Zaraz też złożyła garstka obecnej inteligencyi 300 mk. na ten cel. Zamieszczając więc powyższą odezwę dla samej już szlachetnej myśli w niej wypowiedzianej i dla ponownego przypomnienia narodowi, czem był dla niego ś. p. Czesław Lubiński (ks. Damroth), wyrażamy równocześnie wątpliwość, czy skutek będzie pożądany, mianowicie co do wystawienia pomnika. Natomiast powinna odezwa być zachętą do tem gorliwszych ofiar na pomoc naukową“.

—

„Dziennik Kujawski“ (nr. 129) tak się wyraża o rozwoju idei narodowej w zaborze pruskim:

„„Ojczyzna“ przestała być dla ludu marą niepochwytną, czczym frazesem. Co niegdyś było dlań sennem widziadłem, fantastyczną mrzonką, dziś przedstawia się oczom jego jako ciało namacalne, jako podpadająca pod zmysły rzeczywistość. I na całym obszarze począwszy od Raciborza aż do brzegów Bałtyku, gra „ojczyzna“ na duchowych strunach serc wszystkich swych dzieci w tajemniczy sposób jak na harfie.

...Górny Szląsk rwie się po pięciowiekowym śnie do narodowego życia, zrywa się do lotu lud wielkopolski i zachodnio-pruski, rodzi się nowy brzask w duszy Kaszuby z pod Kościerzyny i Pucka, a nawet na dalekiej Warmii wyrastają mocą jakiejś niewidzialnej siły świeże źdźbła i przebijają się przez twardą skorupę na światło dzienne. Jak pod wpływem promieni słonecznych nikną lody i topnieją śniegi, tak pod urokiem nowej idei, ucieleśnionej w „ojczyźnie“, pierzcha mróz, który przez wieki ziębił serca ludu — olbrzyma.

Słowem, trzechmilionowy Goliat, niegdyś za „martwą bryłę“ uważany, albo się jeszcze przeobraża, albo się już przeobraził i stał się potężnym czynnikiem w narodowym organiźmie, do którego należy. To są skutki niwelacyjnego nacisku. Że zaś wicher kulturny, którego ojcem był Bismarck, dał impuls do tego narodowego odrodzenia naszego ludu, przeto Bismarck stał się odnośnie do Polaków bezwiednem narzędziem i propagatorem tej samej idei, która w roku 1870 i 71 oddała Prusom przodownictwo w Niemczech, a w imię której 12 lat przedtem Napoleon III stworzył jedność Włoch.

...Duch narodowy schodzi z wyżyn społecznych, gdzie przez wieki wyłącznie nieomal miał przytułek, do warstw niższych i najniższych i wszystkie członki narodowego ciała przenika i ogrzewa dzisiaj swem ciepłem. Święty ogień Żnicza, który dotychczas gorzał na ołtarzu serc jednej jedynej klasy społecznej, uważającej się pod pewnym względem niejako za naturalnego, urodzonego i uprzywilejowanego stróża tegoż skarbu, stał się własnością ogółu, poszukał sobie czcicieli liczniejszych, obrał sobie cały naród za stróża, opiekuna i piastuna“.

„Katolik“ donosi w Nr. 68:

„Przeciw Polakom na G. Szląsku rozpoczęli niemieccy i zniemczeni germanizatorzy walkę przez to, że 5go Czerwca założyli we Wrocławiu związek antypolski czyli ten sam, jaki już od Listopada przeszłego roku w Poznańskiem i Prusach Zachodnich istnieje i z Polakami walczy na zabój. Przewodniczący związku, pozasłużbowy major Tiedemann, prawił o wojnie, jaką także z Polakami górnoszląskimi zacząć należy. Nie będzie to tak trudna rzeczą, jak w Poznańskiem, bo tam arcybiskup jest Polakiem, księża, szlachta Polakami, również silny stan średni i mieszczański jest polski. Na G. Szląsku zaś — tak mówił p. Tiedemann, — książę biskup jest Niemcem, większość duchowieństwa ma niemieckiego ducha, i nie brak w ogóle ludzi dla niemczyzny dobrze usposobionych. Chodzi o to, aby zapobiedz dalszemu szerzeniu się polskiej agitacyi. Niebezpieczeństwo tej agitacyi nie jest jeszcze zbyt wielkie, lecz trzeba się mieć na baczności. Związek antypolski jest parytetyczny, to znaczy, że i niemieccy katolicy mogą do niego przystąpić. Związek ich szanuje i gotów jest bronić przed krzywdą i szkodą. Drugi przewodniczący Hansemann przeczytał list p. inspektora Lücka z Chropaczowa.

Radzi on, ażeby urzędnicy, kupcy, szynkarze, rzemieślnicy niemieccy rozmawiali z polskim robotnikiem,

---

być inaczej. Nigdy nie był z nią sam, nigdy też z nią nie rozmawiał, a często zapominał nawet o jej obecności. Była tak nieśmiała, że zdawała wprost bać się czegoś, gdy pozostali przypadkiem sami. A dla czego właściwie? Nie wiedział, lecz nie mogło być wątpliwości co do tego.

Często, przychodząc przed południem, gdy pukał do drzwi, mógł słyszeć lekki szelest sukni, następnie szybkie otwieranie i zamykanie drzwi do pokoju sąsiedniego, a gdy po chwili wchodził, nie zastawał już nikogo w pokoju. Woń perfum delikatna, unosząca się w powietrzu, jedynym była śladem jej obecności w pokoju. Wieczorem, gdy ojciec był w domu, nie wypadało jej jako gospodyni domu usuwać się, lecz i wtedy musiał Bergström poprzestać na małem. Na pytania jego odpowiadała krótko i tylko to, co musiała, zupełnie nie zwracając uwagi na jego chęć zbliżenia się do niej; potem zaś, gdy po kolacyi ojciec z gościem gawędkę rozpoczynał, siadała w kącie pokoju na kanapie, gdzie przy świetle lampy z zajęciem czytała, lub też, trzymając książkę, udawała, że czyta.

Gniewało go to, że w żaden sposób jej poznać nie może; a gdy czasem przed ojcem żartobliwie się uskarżał, także niewiele się dowiadywał.

— Nie znam jej lepiej od pana, — przyznawał się z szczerością, która Bergströma początkowo dziwiła, lecz którą potem rozumiał. Od niedawna przebywał z nimi, lecz mógł już zauważyć niechęć ich wzajemną.

W córce była niechęć owa tak stanowczą, tak zakorzenioną, że musiała mieć przyczyny bardzo już dawne, a jemu nieznane; była to niechęć, która przy wielkiej różnicy ich usposobień nietylko w zobojętnienie przejść mogła. Gdy czasem ojciec zwracał się do niej z czemkolwiek, co zresztą nieczęsto się zdarzało, czynił to zawsze z pewnym odcieniem nieukrywanego rozdrażnienia, — w jej zaś milczeniu lub chwilowem przelotnem spojrzeniu malowała się niemal pogarda.

— Ona miewa swe chimery jak wszystkie kobiety, — objaśniał doktór. Nic więcej nie mówił.

— Zatem to też muszą być chimery, — pocieszał się Bergström, — że mnie stale unika, lecz to chyba przejdzie prędko.

Tymczasem zaszło coś, co stosunki tej rodziny nieco wyświetliło.

Przed kilku laty przychodził często do domu ich pewien młody człowiek, asesor Nörgaard, daleki krewny żony dr. Pauli. Nieboszczka lubiła go bardzo, a nawet chętnie widziała w nim swego zięcia przyszłego. Był to wysoki, chudy młodzieniec o jasnych gęstych włosach; twarz jego bez zarostu, podłużna, koścista, miała wyraz surowy i zarozumiały zarazem; bystry, niemiły wzrok jego zakrywały okulary. Gdy się uśmiechał, wykrzywiała się twarz jego w tak wstrętny grymas, że ludzi odstręczała w pierwszej zaraz chwili. Lecz on, wiedząc o tem, wolał się nie śmiać nigdy; w ogóle był świadom swej powierzchowności i dla tego też zrezygnował na zawsze z wszelkich sukcesów salonowych... Był niezgrabny w obejściu, sztywny, a głos miał nieprzyjemny, monotonny. Nie miał zwyczaju zabawiać się gawędką, mówił tylko, by go słuchano; każde zdanie jego było jakby kazaniem. Chciał koniecznie ludziom imponować, by ich następnie pokonać, a w tym celu używał środków wszelkich, jakie tylko w jego były mocy. Posiadał on wiele wytrwałości i bardzo też wiele w młodszych latach pracował. Będąc jeszcze bardzo młodym, zwrócił na siebie uwagę świata uczonego pracą swą p. t. „O błędach ortograficznych u pisarzy Wieku Złotego“. Przepowiadano mu też świetną przyszłość jako estetykowi — a widoki na przyszłość polepszyły się od czasu, kiedy występować począł jako gorliwy agitator i obrońca zasad panujących“ tak w polityce, jak w moralności i religii. Przyznać mu jednak musieli wszyscy, nie wyłączając i najzagorzalszych przeciwników, że owe „zasady panujące“ raczej temperamentowi jego, nie zaś jakiemuś wyrachowaniu przypisać należało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

rolnikiem po niemiecku. Teraz niektórzy Niemcy mówią po polsku. Inny germanizator p. Schlabitz opowiadał, że polszczyzna coraz więcej niemczyznę na G. Szląsku wypiera. Inny znów mówił o tem, aby gazetę założyć, co też i p. Lück polecał. W ogóle na każdy sposób niemczyznę szerzyć, polszczyznę tępić, bo Polacy mają być tylko polskimi Prusakami, a niczem więcej. Burmistrz Engel z Prudnika powiedział, że na G Szląsku nie ma zgoła wielkopolskiej agitacyi między ludem, lecz trzeba czuwać, aby się między lud nie dostała. Następnie odezwał się poseł Segeth, ów „sławny Polak z Lubomi“ i znowu zaczął „siać pietruszkę“ a „rzepa mu się pewnie urodzi“. Powiedział on, że byłoby dobrze, gdyby dla młodzieży zaprowadzić niemieckie kazania popołudniowe w kościołach, a sołtysom i ławnikom nakazać, aby w urzędzie tylko niemieckiej mowy używali. Potem wybrano wydział z 60 ludzi dla Szląska, a do zarządu wydziału- pp. księcia Krystyana Kraft Hohenlohe, hr. Limburg-Stirum, radzcę Dahna, posła Segetha, inspektora Lücka, burmistrza Engla, hr. Gwidona Henckla Donnersmacka z Najdeku i p. Tiele-Winklera. Rozmawiano też o Morawianach i Czechach na Szląsku. Przeciw tym Słowianom związek antypolski także ma walczyć.

Rozpocznie się zatem na naszym G Szląsku walka Niemców z Polakami, jakiej jeszcze dotąd nie było. Nie możemy sobie tej walki lekceważyć, bo nieprzyjaciel silny: lecz nie potrzebujemy jej się nadto lękać, bo Bóg z nami był dotąd, i prosić Go będziemy, aby był nadal, — a przytem myśmy już zahartowani na uciski rozmaite losu i wrogów. Będziemy się bronili!“

LITERATURA I SZTUKA.

„WISŁA.“

Kiedy w Warszawie zaczęła wychodzić „Wisła“, obudziła ogólne zainteresowanie: podawano treść jej numerów, streszczano ważniejsze prace, przedrukowywano jej kwestyonaryusze. Ale z biegiem czasu tak dalece o niej zapomniano, że obecnie z rzadka można napotkać chyba tylko wzmiankę o wyjściu numeru. Wydawnictwo to jednak nie zasługuje na taką obojętność. Poświęciwszy się studyom nad swojskim folklorem, spełnia ono swoje zadanie z rzadką gorliwością, a znalazłszy się pod umiejętnem kierownictwem p. J. Karłowicza, bezwarunkowo należy dzisiaj do najlepszych czasopism specyalnych w zakresie ludoznawstwa. Mówimy to z całą pewnością, bo niejednokrotnie mieliśmy sposobność porównywania „Wisły“ z odpowiedniemi wydawnictwami zagranicznemi.

„Wisła“ obecnie rozpoczęła dziewiąty rok swego istnienia. W rocznikach, które się ukazały, znajdujemy nietylko zbiór surowego materyału. Studya nad obyczajami i pojęciami naszego ludu odznaczały się dawniej brakiem pierwiastku krytycznego: więcej tam było dobrych chęci, aniżeli odpowiedniego przygotowania, raczej szło o cele artystyczne, niż o naukowe. O systematycznem badaniu nie było mowy i nawet być nie mogło. Nie chcemy zmniejszać zasług zmarłego Oskara Kolberga, które niewątpliwie są bardzo wielkie; ale swoją drogą był on tylko namiętnym amatorem-ludoznawcą, który, gromadząc ziarnko do ziarnka, zbierał doryweczo rzeczy bardzo cenne. Dopiero „Wisła“ zwiastuje w naszym folklorze zwrot pod względem gromadzenia materyału. Zwłaszcza dużo uczyniła w tym kierunku, wprowadzając już w pierwszych rocznikach stałą rubrykę „poszukiwań“, w których zamiast niesystematycznego błąkania się, jęła podsuwać kwestye jedną po drugiej i drukować wyczerpujące a systematycznie ułożone kwestyonaryusze. Zwracała ona w nich tem samem uwagę folklorystów na pewną stronę zwyczajów ludowych i niekiedy skutkiem tego gromadziła obfity materyał. Tak np. stało się z tak zwanem „mętowaniem“ używanem przez dziatwę (zwroty: „en, en, enta nos — wi, wi gęba nos“, powtarzane, ażeby wskazać kto ma pierwszy być „zającem“ lub iść „do kąta“).

A. Więckowski wykazał, że owe niezrozumiałe i cudackie wyrazy: en, enta, wi i inne, są niczem innem, jeno popsutem liczeniem w praaryjskiej mowie, które przetrwało w ciągu wieków, naturalnie przeinaczając się w rozmaity sposób. „Wisła“ więc przystąpiła do zbierania mętowań i nagromadziła olbrzymi materyał, oczekujący teraz na kogoś, ktoby go usystematyzował i uogólnił.

A Zakrzewski znowu zwrócił uwagę na istniejące w kraju różnice, rzekłbym plemienne, gdyby ten wyraz nie był za silny.

Znajdują się takie grupy, jak Kurpie, Mazurzy, Kujawiacy, Krakowiacy, odróżniające się swoją wymową, strojem nawet temperamentem. Poruszył więc on kwestyę wyznaczenia granic pomiędzy temi odłamami narodu. Rozpoczęto w ten sposób badania nad naszem terytoryum etnograficznem, później nad geograficznem rozmieszczeniem pochylonego *a* w wymowie ludu, nad rodowodem nazw, pod jakiemi słyną pojedyncze grupy ludu. W związku z temi badaniami znajdują się studya nad budową swojskiej chaty i jej rozmieszczeniem. Jak wiadomo, w Niemczech każdy lud (Sasi, Szwabi, Bawarczycy), wniósł do struktury chaty inne zasady i dzisiaj badacz, notując geograficzne rozmieszczenie tego lub owego stylu domostwa wiejskiego, zaznacza wędrówki pojedyńczych szczepów niemieckich. Podobną kwestyę wszczął u nas p. Karłowicz, a poszukiwania niebawem objęły nietylko nasz lud, lecz równie sąsiednie terytorya słowiańskie: Łużyczan, Morawian. Podobnie od paru lat stale, spotykamy w „Wiśle“ poszukiwania nad zwyczajem sobótki w naszym kraju i sposobami niecenia ognia, nad tak zwanemi „kulami“ (wici ludowe) i pismem obrazowem, nad medycyną ludową i wielu innemi kwestyami. Jednocześnie znajdujemy w rozpatrywanej rubryce kwestyonaryusze. Ułożono wyczerpujący kwestyonaryusz dla zbierania poglądów i zwyczajów prawnych naszego ludu, przesądów związanych z pamięcią o zmarłych, w sprawie żydowskiej (Aleksandra Świętochowskiego) i czytelnictwa ludowego.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad rubryką poszukiwań, gdyż uważamy ją za najważniejszą w „Wiśle“. Przy jej pomocy poznajemy różne strony zwyczajów naszego ludu w sposób wyczerpujący. Jednak w samym numerze część ta jest odsunięta na plan dalszy, gdyż drobne, choć liczne notatki nie mogą stanowić właściwej treści pisma. Główny plan zajmują większe rozprawy. Niekiedy są to rzeczy tłómaczone, z któremi należało zapoznać naszych czytelników. Między innemi przełożono pracę Achelis'a o rozwoju etnografii nowożytnej, piękną książkę Toeppen'a o wierzeniach Mazurów pruskich itp.

„Ale przedewszystkiem musimy uwzględnić prace oryginalne.

J. Karłowicz przedsiębrał próbę usystematyzowania naszych pieśni ludowych. Idzie o t. zw. balady. Studya folklorystyczne wykazały, że wątek każdej balady jest rozpowszechniony na olbrzymiej przestrzeni: istnieje on wśród różnych ludów, niekiedy zaś nawet na rozmaitych lądach globu ziemskiego. Poniekąd wypływa to z przyczyny, że jakiś wątek, powstawszy w pewnej okolicy wędruje z miejsca na miejsce, pochłania pokrewne opowieści, niekiedy przeistacza się, ale bądź co bądź, zachowuje rdzeń pierwotny. Taką np. jest opowieść o Madeju. Niekiedy trzeba przyjąć inny rodowód: ten sam wątek powstaje niezależnie w różnych okolicach, względnie u różnych ludów: poeta ludowy dowiaduje się o pewnem zdarzeniu, np. zabójstwie męża przez żonę, i pod tem wrażeniem układa swój utwór.

A ponieważ warunki życia włościańskiego są wszędzie pokrewne, przeto wszędzie też ballada taka ma podobne rysy, jak gdyby powstała w jednem miejscu i później rozszerzyła się dalej. Pracę podobną, charakteru ogólno-porównawczego, podjął Child. J. Karłowicz zaczerpnąwszy z niej wątku, zgromadził wszystkie warianty jakie istnieją u naszego ludu i porównał jedne z drugiemi. Szkoda, że poprzestał na kilku baladach i nie prowadzi dalej swojej

Z dziennika wykolejonej.

I.

„*Dans l'état actuel de l'esprit humain une trop riche nature est un supplice*“ powiada Renan. I słusznie: w wieku specyalistów, gorączkowej pogoni za chlebem, czy karjerą, w okresie wyjałowienia myśli i uczucia wielostronność natury, jej głębia i bogactwo, to coś jak olbrzymi apetyt atlety-biedaka, który zawsze głodny odchodzić musi od skromnego stołu.

Nie wiem, czy mówiąc o bogactwie natury indywidualnej Renan miał na myśli i kobietę. A jednak ją przedewszystkiem na uwadze mieć by tu trzeba, bo tu najbogatsza jest bezwarunkowo najgodniejszą pożałowania. Jeżeli natura kobieca rozwinie się harmonijnie i prawidłowo, jeżeli każda z jej właściwości przystosować się potrafi do otoczenia i rozlewać słodkie i ciepłe życie naokoło siebie, nie zanadto wybujałe, nie rażące nikogo, nie zadające ran ani bolu sobie ani drugim, to kobieta taka prawdziwem jest dla bliźniego, a często i dość szerokiego koła, błogosławieństwem. Nie potrzeba jej specyalnej wiedzy ani talentów, wielkiej urody ani bogactwa, bo ona i bez tego w jakiemkolwiek się znajdzie położeniu uszczęśliwiać potrafi drugich i siebie, w żadnej sferze nie będzie jej za ciasno, aby tylko znalazła współczujące serca. — ona potrafi być tym kitem, który ostre kanty wypełni i otoczenie dokoła zgrupuje. Nie jest to już kobieta powszednia, ale w każdym razie miękki, łagodny promień światła, które nie pali i nie razi, i przy którem najlepiej rozwijać się może życie dnia codziennego.

Niech jednak natura da jej talent jakiś, umysł zbyt lotny, energią, która pożąda czynu po za zakresem codziennego życia, wreszcie nadmiar uczucia, które oddźwięku znaleść nie może u otaczającego ją świata, a owa harmonja zostanie już naruszoną. Każda z takich właściwości postawi ją w kolizyi z panującą opinią, rodziną, otoczeniem, każda wytworzy walkę i niezadowolenie, której ostateczny wynik zawsze niepewny.

Czy dla tego, że górująca nad inne zdolność, czy właściwość wytwarza już ową zbyt bogatą dla dzisiejszego świata naturę? Nie. Dla mężczyzny byłaby ona właśnie osnową do lepszego powodzenia w życiu, dałaby mu punkt oparcia, główny motyw dla osnucia celów i planów życiowych, wyniosłaby go po nad innych, a jakkolwiek każda burza najmniej oszczędza najwyższe drzewa, to przecież i każdy promień słońca najpierw je oświeca i każde oko z największem zadowoleniem na nich spoczywa.

Taka górująca właściwość u kobiety to po prostu dar natury, z którym społeczeństwo nie wie jeszcze co począć, do którego tak mało przywykło, iż psuje mu ona porządek, zamiast użyteczną wydaje się być potworną. Nie znajdując pomocy, poparcia, wskazówek kobieta walczy często napróżno i tylko dzięki wielkim staraniom udaje się jej niekiedy cel osięgnąć. Z takim wydatkiem energii, jaki mężczyźnie wystarczyłby już do wykonania dzieła w zakresie swego talentu, czy upodobania, kobiecie udaje się zaledwie zdobyć właściwe doń przygotowanie. Pomimo to mierzą ją i porównywają z mezkim współzawodnikiem i jeżeli porównania tego nie wytrzyma głoszą jej przyrodzoną niższość. Przypuśćmy jednak, że walkę przetrwała, że jest talentem wybitnym lub dzielnym specyalistą, czy to dziwne, że w tem dążeniu zatraciła niejedną z właściwości płci swojej, że brak jej owego subtelnego uczucia, kobiecej przenikliwości, że nie umie już kierować się instynktem, że zbyt dosłownie i bezwzględnie stosuje w życiu teorye, nadto surowo sądzi świat męzki, że pesymistycznie odnosi się do ludzi w ogóle, że czuje się nieszczęśliwą właśnie wtedy, gdy cel swój osiągnęła?...

A teraz zwróćmy się do owych natur, dla których życie jest torturą, — bo są zbyt bogate, a los skąpy, ludzie zawistni, a nawet własny ich organizm, nie znoszą nadmiaru myśli, pragnień, uczuć i fantazyi. Czy można je scharakteryzować w ogólnych rysach, czy istnieją wogóle ramy, w które wtłoczyć by się dała indywidualność podobna? Typów tu nie ma, są jednostki; czy nie będzie to zarozumiałością opisać jedną z nich, najle-

pracy, która stanowi u nas pierwszą naukową próbę usystematyzowania naszych pieśni.

Zasługują również na bliższą znajomość prace dr. Wł. Olechnowicza, dotyczące antropologicznych cech ludności w gubernii lubelskiej. Zwłaszcza ciekawem jest jego studyum porównawcze nad szlachtą i ludem. „Prawie od zarania dziejów naszych, jako państwa, wytworzyła się klasa inteligencyi, powiada autor. Już z badań historycznych wypada wielkie prawdopodobieństwo, że obie te warstwy od lat tysiąca blizko żyją w odmiennych warunkach i pod względem fizycznym i pod względem umysłowym. Autor na mocy swych poszukiwań wywnioskował, że istniejące między ludem a szlachtą różnice wypływają tylko z bardziej rozwiniętego mózgu, i że innych, zasadniczych nie ma. Zresztą rozmiary materyału, z jakiego użytkował on, są zbyt szczupłe, ażeby można mówić o stanowczych wnioskach w tej mierze.

Niepodobna nam rozwodzić się nad całością prac, nagrodzonych w „Wiśle“, bo to zaprowadziłoby nas za daleko, poprzestaniemy więc jeszcze na wzmiance o pracach dr. Nadmorskiego i S. Ciszewskiego i o systematycznych kronikach geograficznych W. Nałkowskiego.

Dzięki pracom, umieszczonym w rocznikach akademii umiejętności, niepospolitym zasługom O. Kolberga i materyałowi zebranemu przez „Wisłę“, społeczeństwo nasze posiada nadzwyczaj bogaty zasób faktów. Zużytkowany odpowiednio, rzuciłby on ciekawe światło na naszą kulturę pierwotną. Już Kaczkowski w swojem studyum o kobiecie usiłował na podstawie zwyczajów, obecnie wśród ludu istniejących, zwłaszcza zaś obrzędów weselnych, skreślić niektóre rysy naszej fizyognomii obyczajów w chwili przyjęcia chrześcijaństwa. Cofnął się jednak z powodu braku materyałów. Dzisiaj jesteśmy w szczęśliwszem położeniu. Możemy z wielkiem prawdopodobieństwem oznaczyć strukturę chaty dalekiego naszego przodka a nawet budowę wsi całej. Wiemy w jaki sposób były zwoływane wiece wiejskie i nawet drobiazgowo zdolamy opisać tryb uwiadamiania sąsiadów, obrzędki weselne, chrzciny i pogrzeby. Mamy wyobrażenie o jego filozofii i mitologii, obyczajach prawnych i uroczystościach, w szczegółach dokładniejszych niż dać nam je mogą pisane dokumenta, datujące się z wcześniejszych czasów naszego życia kulturnego.

Nowele Sewera.

(Dokończenie.)

Urok, jaki wywierają powieści ludowe Sewera, polega w znacznej mierze i na pozornym braku tendencyi. Powieściopisarze nasi, opisujący życie ludu, stawiają sobie zazwyczaj z góry pewną tezę, której pragną dowieść. Fałszywie pojęta demokracya ma tu najczęściej zastosowanie. Powieściopisarzowi nie idzie o wierną charakterystykę sfery, którą wziął za przedmiot swojej opowieści, ale o przekonanie czytelnika, iż ujemne strony są wypływem smutnej tradycyi pańszczyzny i uważania chłopa za bydło pociągowe; nieufność do surduta, wszelkie złe instynkta, opilstwo, złodziejstwo, nieposzanowanie praw moralnych, mają tu mieć swoje źródło. Inni idealizują chłopa w przeciwstawieniu do tych wszystkich, co posiadają inteligencyę lub majątek; chłop jest uczciwy, dobry, a wyzyskiwany dla tego, że jego prosta etyka i świeżość uczuć dadzą się wyzyskiwać sprytniejszym i nieprzebierającym w środkach, aby dojść do upragnionego celu. Inni wreszcie wmawiają słusznie w chłopa obce mu dążności i poglądy. Ze zwykłego i łatwo zrozumianego przywiązania do ziemi, jako podstawy bytu materyalnego, wysnuwają bardzo piękne i mile łechcące teorye o rzekomem istnieniu wśród *ogółu* ludu szerszych pojęć obywatelskich. Dla tego też z góry postawiona teza zmusza ich do naginania prawdy, do dźwigania tkanki ze sztucznie wydobytych i powiązanych ze sobą przestanek, dla tego też kiedy jedni wpadają w krańcowy pesymizm, to obrazy innych oślepiają oczy rażącemi blaskami skrajnego optymizmu. Sewer ustrzegł się od tego rodzaju tendencyjności, ztąd prawda tryska z jego powieści, prawda nieco wyidealizowana, boć powieść nie jest sprawozdaniem dziennikarskiem, ani protokółem urzędowym. Bierze, co rzeczywistość mu dała, czem obserwacya zbogaciła jego notaty, ale fantazyi nie zaprzecza prawa do istnienia. Tylko fantazya ta nie unosi go za daleko, nie ściera piętna rzeczywistości z malowanych obrazów. A jednak pomimo, że Sewer zdaje się czuć wyłącznie artystą, to umie bacznie spoglądać, ten ujrzy i tendencyą na dnie jego utworów. Jest nią dążenie do takiego przedstawienia sfery wieśniaczej, aby realizm nie zasłaniał poezyi, przechowującej się w sercach i umysłach „najmłodszej braci“, aby prawda z poezyą torowały razem drogę do poznania, zrozumienia i ukochania tej siły, co na pozór spoczywa jeszcze drzemiąca, ale już budzi się do czynu, domaga się lękliwie wprawdzie i powoli, ale coraz częściej przypuszczenia do udziału w pracy społecznej. Sewer nie uczy fałszywych sentymentów, ale zwraca uwagę na właściwości, wady i zalety „maluczkich duchem“ jakby wskazywał i mówił: oto jest czarnoziem zdatny pod uprawę, oto są kamienie, które należy z niego wybrać, oto chwasty, które trzeba wyplenić...

Szkoda, że nie znalazł się dotychczas wydawca, coby zebrał razem wszystkie powieści ludowe Sewera. Chcąc poznać je w całości, trzeba przerzucać czasopisma, lub szukać ich po tomowych tu i owdzie wydawanych zbiorach jego nowel. Pocieszać się należy, że w ostatnich dniach zrobiono krok pierwszy ku poprawie, wydając w jednym tomie trzy powieści z tego działa twórczości Sewera. Oprócz obrazka „Zalotnica“, nadającego nazwę zbiorowi, są w nim nowele „Zosia Żórawianka“ i „Łusia Burlak“.

Właściwie „Zosia Żórawianka“ należy tylko w połowie, a nawet mniej niż w połowie do powieści ludowych. Bohaterką jej jest wprawdzie dziewczę z ludu, ale treścią opowiadania są romansowe przygody panicza-poety. Zosia, córka wiejskiego bogacza, która „na pańskie nigdy nie przychodzi“, wpadła w oko panu Stanisławowi i została jego narzeczoną. Przed laty trzydziestu lub czterdziestu każdy, a i dziś co drugi przynajmniej powieściopisarz, ulegając wówczas modzie, a dziś przyzwyczajeniu, połączyłby tę parę węzłem małżeńskim, albo też powtórzyłby tyle razy odgrzewaną historyą nieszczęśliwej „Halki“. Sewer przepłynął jednak szczęśliwie między Scyllą ołtarza a Chabrydą dramatu. Dziewczę im bliżej poznaje swego narzeczonego, tem więcej się go obawia. „Ja się boję twoich ojców, — mówi — wielkie to państwo... czemużeś ty nie sierota!...“ Przyłącza się i druga bojaźń. Zosia czuje, że nie dorasta do pojęć swego ukochanego, instynktowo rozumie, że ma on ideały, które dla niej zawsze pozostaną obce. Po dłuższej nieobecności Stanisława słucha spokojnie jego tłomaczenia się i mówi bez cienia wyrzutu: „wy panowie, zaczytani w księgach, mało macie czasu!“ Martwią Zosię i gadaniny sąsiadek. Tak pomału staje pomiędzy kochankiem przedział sfer i wyobrażeń, a wreszcie staje i młody leśniczy, on tak samo jak panicz kocha Zósię, tylko przedstawia dla niej więcej warunków szczęścia, bo on nie będzie jej dla ksiąg opuszczał, nie ma dumnej matki „senatorowej“, nie daje gwarancyi „rocznej“ lub „dwuletniej“, lecz na całe życie. Zosia chwieje się i popełnia zdradę z bojaźni, ale ta zdrada z pod pióra Sewera wychodzi tak naiwna, szczera, serdeczna, tak

---

niej znaną najbliższą, najnieszczęśliwszą, a więc siebie?.. Postawię wprawdzie siebie w kategoryi najlepszych, ale już nagłówek wskazuje, że nie roszczę pretensyi bym owe hojne dary zużytkować potrafiła, może ta trzeźwość oceny przebaczyć mi każe stanowisko zajęte...

Gorący temperament i bardzo trzeźwa, chłodna głowa — to wieczna możność popełniania szaleństw i ostrej krytyki samego siebie, która jest najsurowszą za te szaleństwa karą. Głębokie, aż do namiętnych porywów dochodzące uczucie i — duma, która jego przejawy krępuje, którą każdy chłodniejszy powiew z zewnątrz mrozi, a więc uczuciu każe się zamknąć w sobie, choćby pierś rozsadzić miało! Przepyszna kombinacya wymyślona jak się zdaje wprost dla unieszczęśliwienia człowieka. A jednak czuję ją w sobie, cierpię z jej łaski, z jej powodu narażam sobie ludzi i wydaję im się niekonsekwentną, a chwilami szaloną...

Przecież ta kobieta ma dużo woli i energii, powiadają, a pomimo to postępuje w życiu, jak gdyby każdy wiatr mógł ją ze sobą unieść. Może i prawda, wola jest, energia również, ale instynkt samozachowawczy nie jest dość potężny, aby uchronił przed reagowaniem na wrażenia. A wrażenia te wytważają taki nadmiar energii, że ona do działania, do postanowień, do zapomnienia zupełnego o swojem ja pobudza.

W każdym jest pewna doza artyzmu, szczęśliwy komu natura nie odmówiła środków do ujawnienia go na zewnątrz, kto rozporządza poetycką formą, dźwiękiem, muzyką, pędzlem lub dłutem. W życiu pozostać on może trzeźwym, systematycznym, może w niem plan przeprowadzić. Ja przecież jestem artystką w życiu, a więc w odczuwaniu wrażeń w reagowaniu na nie. Potrafię artystycznie cierpieć aż do fizycznego bólu, łudzić się, cieszyć, aż w końcu trzeźwość bierze górę i ogromny wydatek uczucia i energii kończy się spazmem śmiechu, kurczowego śmiechu, który jednak przechodzi we wzruszenie ramion nad sobą i drugimi. A więc tylko chwila panuje nademną niepodzielnie. Tak, ale gdybyż ta jej władza trwała tylko przez chwilę!... Tymczasem pozostawia ona za sobą smugę pamięci, powraca falą wspomnień, wyrzutów, upokorzenia niekiedy, upokorzenia nad własną słabością, czy nieoględnością, które gryzie, nurtuje, wkręca się w mózg i dziobie go po kawałku.

I to się zowie bogata natura! Powiecie: A bodajby była uboższą, a miała nieco samozachowawczego zmysłu. Ochroniłby ją może od wybuchów i niekonsekwencyi życiowych, które przecież ubożyć muszą.

Otóż tu siebie wziąść muszę w obronę. Tego życiowego ołowiu, który jednostce przedewszystkiem każe w sobie samej, swej doli i niedoli widzieć punkt ciężkości świata, istotnie posiadam mało. To moja słabość — ale i siła.

Brak względów na zachowanie własnego ja trzeba drogo opłacić, doświadczenie każde dużo mnie kosztuje, tem drożej, że cała moja istota zawsze w niem bierze udział. Wybuchowi uczucia towarzyszy myśl uparta a niepoprawnie krytyczna, która jednocześnie przeprowadza próbę ogniową, a gdy się przekona, że to ogień słomiany, odwraca się odeń z pogardą, gdy zaś widzi, że ogień płonie uparcie, że grzeje i pali, pyta, czy przedmiot uczucia zasługuje na taki wydatek. Biada jeżeli odkryje, iż tak nie jest, — urągowisku nie ma już miary, a to boli, bardzo boli, gdyż sobie samemu oczów piaskiem zasypać nie można.

Gdy niepoprawna fantazya pocznie kreślić jaskrawe, a łudząco piękne obrazy, zjawia się gość nieproszony — sceptycyzm i z gorzką ironią zwiewa pałace z kart, zamiast argumentów wyciąga tam gdzieś z pyłu zapomnienia legiony wspomnień i doświadczeń minionych, które umie i innym wskazać, jakoby całą przelotność ich nadziei, nietrwałość zamków — na lodzie.

Poznanie do warsztatu swego wciąga i cały zapas uczucia i fantazyi, ale tu przynajmniej tej nierozłącznej spółki cierpieniem okupywać nie trzeba. Silne przejmowanie się wrażeniami umysłowemi daje zawsze żniwo obfitych i niezmąconych niczem rozkoszy. Bo przecież nie o cel tu chodzi, ale o drogę, o te pochłaniające istotę całą wrażenia, których doznawać może człowiek podzielający rezultaty my-

nierzucająca żadnej plamy na charakter dzieweczki, że się jej tak przebacza, jak przebaczył panicz-kochanek. Znajduje on pocieszycielkę w Loli, która w czasie jego sielankowej miłości od Lamartina przeszła do Słowackiego i tą przemianą przykuła do siebie zdradzonego poetę. W noweli tej, pisanej w formie listów, walczą ze sobą dwa światy: prostoty i flirtu, zagrody i salonu; bawiący się świat warszawski znajdzie w niej wyborną charakterystykę.

I w „Zalotnicy“, która dała nazwę zbiorowi, młody panicz odgrywa wybitną rolę. Ale to nie poeta jak Stanisław, a więc cel jego marzeń znacznie realniejszy. W całej okolicy nie było takiej dziewuchy jak Maryna. Tęga, zdrowa, rosła, z chudej i nikłej „wybrała się bez zimę na kapuścia i ziemniakach“. Wyszczerzała zęby do ekonoma, patrzała śmiało na panicza, groziła fornalowi — bestya, bestya, nie dziewucha! Błażka sierotę, który „wisiał przy bracie“ najwięcej, bo „na zabój buntowała“. Raz przy wiązaniu snopków żniwiarki natrafiły na łożysko ostu, zmieszanego z pszenicą. Błażek powiedział, że „okrutnie lubi oset“ i „bez to“ za siebie i Marynę kręcił i wiązał powrósła. Ale Błażek był biedny i Maryna biedna, a więc od czego panicz? I rozpoczął się ze strony dziewuchy flirt na wielką skalę, którego rezultatem była dla Maryny śliczna jałowica, dla Błażka Maryna, a dla panicza — figa. Zapewne etyka Maryny nie zasługuje na pochwałę, ale spryt jej i przeprowadzenie całego „interesu“ nie rażą w opowiadaniu Sewera. Przebiegłość dziewczyny wydaje się naturalną, zalotność jej nie oburza lecz bawi; co więcej, uniewinnia ją poniekąd nieświadomość, nie czuje bowiem ona żadnych wyrzutów, cieszy się, że wypłatała figla paniczowi z korzyścią dla siebie i Błażka. Pod względem budowy i humoru „Zalotnica“ jest jednym z najlepszych obrazków Sewera. Sceny przy żniwie, na jarmarku, przy kupnie jałowicy, miłosnego przekomarzania się z Błażkiem i flirtu z paniczem są na wskroś pełne prawdy i rzeczywiście „malowane w słońcu“, jak je określił sam autor.

Ale najpiękniejszą w zbiorze „Łusia Burlak“. Widzimy dwunastoletnią dziewczynkę, niosącą, ojcu w pole dwojaki, próbującą grabić siano, wybuchającą szczerym śmiechem wśród zabawy z rówiennikami, z obmyślaną taktyką biorącą w niewolę osła, niechcącego zejść z pastwiska, wypędzającą krowy na drogę, zaprzęgającą do wozu klapoucha, biorącą bierny udział w nielegalnem otrząsaniu dworskiej jabłoni, karmiącą cielęta, gołębie i wszelką „gadzinę“ i t. d. Gdyby obrazek urwał się na tych świetnie podpatrzonych i z nieporównanym wdziękiem opisanych zajęciach młodej gosposi, jużby „Łusia Burlak“ zajęła zaszczytne miejsce w naszej beletrystyce. Ale minęło lat parę, a do wioski przybył nauczyciel. Podobała mu się dziewucha, uznał więc, że dobrzeby było się poświęcić dla dobra ludu i wziąć wraz z nią siedm morgów gruntu, trzy krowy, osła, przyodziewek i korale „za dwasta“. Tylko mąż uczony potrzebował uczonej niewiasty, a więc oświadczywszy swe zamiary rodzicom, postanowił własnym kosztem wychować Łusię na pensyi klasztornej. Mamy więc szereg nowych obrazków: podróż koleją do Krakowa, życie koleżeńskie w klasztorze żeńskim, powrót Łusi do domu na wakacye. Z tym powrotem skończyły się nadzieje profesora. Łusia wstydzi się sukni miastowej, widzi, że ją uważają za obcą, zrzuca więc krępujące ją ubranie i trzewiki, odsyła profesorowi świadectwo i list pochwalny, i uśmiechnięta, promieniejaca, staje w szeregu do grabienia siana. Zamiast za profesorem biegnie myślą za Staszkiem i na odpuście w Kalwaryi wpisuje do księgi prośbę do Najświętszej Panny, aby Staszek rychło wrócił „i nie zalecał się do Zośki Gofronówny“. Portret Łusi jest doskonały, a że nie przesadzony, prosto z życia wzięty, za to ręczy sam autor, objaśniając, że nowela ta jest „na tle najprawdziwszych faktów osnuta“.

Wszystkie trzy nowele świadczą o głębokiem wniknięciu przez Sewera w dusze i serca wieśniacze. Złożyło się tak, że wszystkie są pogodne, wesołe, słoneczne, choć Sewer często i z odmiennej strony malował życie ludu. W „Zosi Żórawiance“ odzywa się wyjątkowo struna sarkazmu. Mogą się komu nie podobać, ale sumienny krytyk zgodzi się na słowa Sewera: „Niektórzy recenzenci i dziennikarze, którym szczodra fortuna odrzuciła podanie o koncesyą na sarkazm, odwołują się do powagi, do świętości uczuć, do nietykalności rzeczy, których się wszyscy dotykają, nie odwołują się tylko do dowcipu, będącego podstawą sarkazmu, bo go nie mają. Sarkazm jest formą tak dobrą, jak każda inna. Tylko w krajach świętoszków, kłamstwa, obłudy, egzaltacyi na zimno i łez krokodylich sarkazm jest uważany za trzeciego z rzędu brata lucypera, wtedy jadowite, ale ciche plotki stają się balsamem dla dusz zbolałych“ (str. 47).

Zbiorek poprzedza wyborna charakterystyka twórczości Sewera, pióra dr. Piotra Chmielowskiego.

Kazimierz Bartoszewicz.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Spór o Morskie Oko.

(Dr. Aleksander Czołowski. — Sprawa sporu granicznego przy Morskiem Oku 1894.)

Główny łańcuch Wysokich Tatr, tworzący od wieków granicę między królestwem Węgierskiem i krajami, składającemi obecną Galicyę austryacką — przedstawia łuk, zwrócony wklęsłością na północ a wypukłością na południe ku Węgrom. W kierunku promieni łuku wychodzą z głównego łańcucha, jakby żebra, liczne odnogi podzielone głębokiemi dolinami; jedną z takich odnóg po stronie wschodniej Tatr, jest pasmo Żabie, które od szczytów głównego łańcucha, zwanych Rysami, wybiega ku północy na odległość pięciu kilometrów; grzbiet tej odnogi oddziela od siebie dwie doliny na wschód i zachód; w każdej z tych dolin jak w ogóle we wszystkich tatrzańskich, znajdujemy znaczne zbiorniki wody, tworzące większe lub mniejsze jeziora. Najpiękniejsze i największe z tych jezior leżą w dolinie po stronie zachodniej Żabiego pasma; jest ich tu dwa: mniejsze, położone w amfiteatralnem zagłębieniu w rogu między Żabiem, Rysami i ich dalszem ku zachodowi przedłużeniem, czyli tak zwanemi turniami Mięguszowieckiemi, zowie się Czarny Staw, drugie o 190 metrów niżej, z pierwszem połączone po granitowych złomach biegnącym odpływem, nazywają Rybie Jezioro, lub też jeszcze Morskiem Okiem i pod tą nazwą znane jest powszechnie w naszym kraju, wbrew temu, iż na Spiżu (u Niemców) i na Węgrzech, nazwa ta nadawaną jest Czarnemu Stawowi.

Kształt Morskiego Oka przedstawia owal podłużny, w środku przeciągnięty, od południa zaś nieco spłaszczony, o powierzchni 33 hekt.; obwód jego wynosi 2000 metrów a głębokość 49.5 metrów; leży na pograniczu kosodrzewiny 1404.2 metrów nad powierzchnią morza. Od południowej strony jeziora dziko spiętrzone Mięguszowskie turnie, stromemi spadając ścianami, podstawą swoją dotykają wód Morskiego Oka. Wśród nich ku zachodowi, odosobniona nieco sterczy skała, w wyobrażeniu ludu mająca przedstawiać mnicha, ztąd Mnichem zwana. Od wschodu jeziora wspomniane pasmo Żabie o nagim, ostro poszarpanym grzbiecie, utworzyło olbrzymi wał; stok jego zrazu stromem, następnie łagodnem stacza się zboczeniem ku brzegom Rybiego i przedstawia słabą roślinnością pokrytą pochyłość, która ku północy rozszerza się cokolwiek i tworzy płaszczyznę doliny, porosłą rzadkim świerkowym lasem i kosodrzewiną. Równolegle prawie do pasma Żabie, objęło zachodni brzeg jeziora podobne mu drugie pasmo, mniej wszakże dzikie i więcej pokryte zielonością. Wybiega ono również z głównego łańcucha Tatr i nosi nazwy: Miedziane, Ubocz, Opalony, Czuba i dzieli dolinę Rybiego od doliny Pięciu Stawów, leżącej dalej na zachód. Bok północny Morskiego Oka zamyka do dwudziestu metrów wysoka skalista tama, przez środek której utorowało sobie jezioro odpływ znaczny, tworzący strumień zwany potokiem od Rybiego lub z Morskiego Oka i przerzynający dolinę między obu pasmami a o trzy i pół kilometra na północ u stóp najdalszej kończyny Żabiego pasma, łączący się z drugim strumieniem, zw. Biała Woda, płynącym od strony Spiża. Z połączenia się obu tych strumieni powstaje rzeka, która według twierdzenia miejscowego ludu polskiego, od tego dopiero punktu, zwie się Białką. Przeciwnie, strona węgierska utrzymuje, że rzeka ta (Białka) wypływa z obu jezior Czarnego i Rybiego, zatem nie ma żadnego potoku od Rybiego, a jest tylko wprost rzeka Białka. Na tę okoliczność, na tę różnicę w stosowaniu nazw przez polską i węgierską stronę, trzeba pilną zwrócić uwagę, gdyż w niej tkwi niemal cała kwestya wyjaśnień granicznych z punktu topograficznego. Przyjąwszy bowiem potok wypływającego z Morskiego Oka (Rybiego) za Białkę, uważa go strona węgierska za przedłużenie granicy między Węgrami a Galicyą, idącej tą rzeką przez oba jeziora po Rysy i to wszystko co leży po za strumieniem, uznaje za węgierskie.

Tymczasem biorąc pod uwagę warunki hydrograficzne na miejscu, trudno się zgodzić na to, aby potok od Rybiego uważać za Białkę. Potok od Rybiego wpada do Białej Wody pod kątem prostym, z góry, po złomach skalnych, co sprzeciwia się uważaniu go za macierzyste źródło Białki. Natomiast Biała Woda, płynąca od Spiża, słusznie może uchodzić za takie naturalne źródło Białki, która byłaby tylko jej przedłużeniem dalszem; przemawia jeszcze za tem ta okoliczność, iż Biała Woda jest obfitym i dwa razy większym, niż potok od Rybiego, strumieniem. Na tę okoliczność również należy pilną zwrócić baczność. Jeżeli cała dolina Morskiego Oka, dostępna tylko prawdziwie od strony galicyjskiej, opiera się nie o potok wypływający z tego jeziora, bezpodstawnie Białką zwany, lecz o pasmo Żabie, które tworzy tu naturalną ścianę od wschodu — słusznie, żeby ono też tworzyło tu granicę. Takiej granicy, pociągniętej od miejsca, gdzie potok od Rybiego łączy się z Białą Wodą grzbietem Żabiego po Rysy, domaga się Galicya. Różnica obszaru (899 m. 301 st.) między temi liniami granicznemi, węgierską i polską, stanowi właśnie przedmiot sporu, który dziś stał się tak głośnym, niepokoi miejscową ludność a nawet wznieca zatarg między obu krajami koronnemi, należącemi do wspólnego berła Austryackiego

---

śli, fantazyi, uczucia jak się przejawiły w nauce, sztuce, literaturze. Chodzi o ten rozkoszny dreszcz, który towarzyszy wszelkiemu tworzeniu, o tę gorączkę, która dopiero odczuć pozwala całą pełnią i potęgę życia.

Kto zawsze się oszczędza, kto do życiowych doświadczeń wkłada tylko cząstkę własnej istoty, kto ma stale na myśli ostrożność i samozachowanie — ten żyć może bezprzecznie dłużej, wyglądać lepiej, ogień wewnętrzny go nie strawi, ilość pracy, którą wykona może być większą, ale rezultat jej nie będzie cząsteczką całego — człowieka.

Strona umysłowa okupuje więc poniekąd u mnie i natur mnie podobnych resztę, artysta w życiu może być wirtuozem w umysłowej pracy.

Gdybyż praca umysłowa wystarczyć mogła, gdyby równie prawie potężny prąd życiowych wrażeń na teorye mógł być przerobionym. Ba, wtedy sprzeczności nie przeszkadzałyby sobie wzajemnie, z chaosu wyłoniłaby się harmonia i to bogata, szumiąca już nie prostą piosenką, ale symfonią wspaniałą... Wtedy może nosiłabym wysoko głowę, nie byłabym wykolejoną. Ludzie staliby się dla mnie obojętni, a wraz z nimi ich zabiegi i uczucia, wreszcie stosunek ich do mnie.

Jaskółka.

———

domu. „Wysokie położenie — mówi p. Czołowski — niezwykle malowniczy górski krajobraz, rzadka gra kolorów zwierciadła wody — złożyły się razem, że jezioro to (Morskie Oko) słusznie otrzymało miano „perły gór Tatrzańskich". Opisywane i opiewane niezliczone razy, otoczone rojem podań i baśni, stało się celem wycieczek turystów tatrzańskich, osobliwością kraju, własnością poniekąd całego narodu. Nie dziw przeto, że zakwestyonowanie jego wyłącznego posiadania dalekiem obiło się echem oburzenia i protestu, obudziło w najszerszych warstwach społeczeństwa galicyjskiego, gorące zainteresowanie się co do wyniku wszczętego sporu".

Zkąd powstał ten spór szczególny? Zanim odpowiemy na to pytanie, pozwolimy sobie wraz z dr. Czołowskim, rzucić okiem na odwieczne stosunki pogranicza Galicyi z Węgrami, jest to bowiem rzecz mało znana a rzuca światło na sam początek zatargu, jaki zajmuje obecnie społeczeństwa dwóch sąsiednich a tak różnych i tak mało zespolonych z sobą krajów. O ile pamięć dziejowa wykazać jest zdolna, granice Węgier opierały się o lasy spiskie a więc o naturalną ścianę gór Tatrzańskich; najdawniejszy kronikarz węgierski, anonim pisarz Beli, powiada, że Arpad, pierwszy wódz Madziarów, po przybyciu w dolinę Dunajską, zawojował ją aż do lasów Zepus, syn zaś jego, Zulta, pradziad św. Stefana, „utwierdził granice królestwa Węgierskiego aż do gór Tatur". Szczegół ten wskazuje, jaką była świadomość narodowa co do granicy w te zamierzchłe czasy, a chociaż wśród dziejowych wypadków oba narody niejednokrotnie mogły przekraczać tę linię, to jednakowoż stosunki zawsze wracały do dawniejszego stanu, gdyż w owe czasy natura kraju, jego położenie, wywierały wpływ daleko silniejszy na politykę, niśli to dziś ma miejsce. Oręż Bolesława Chrobrego zagarnął całe Tatry z dorzeczami, z dorzeczem Wagu od Cisy po Dunaj, ale ze śmiercią wojowniczego króla panowanie jego ustało i granica wróciła do dawnego stanu. Tak rzeczy stały do połowy XII wieku, w którym to czasie szczęście posłużyło Węgrom, udało im się bowiem wprawdzie nie za pośrednictwem oręża, ale pewniejszą drogą, bo podbojem kulturalnym, przerwać ciągłość granicy Tatrzańskiej i wedrzeć się na Spiż, który w całości należał do państwa z tej strony Karpat. Stało się to zaś przy pomocy kolonizacyi niemieckiej; już od jedenastego wieku osadnicy niemieccy zajmowali tę okolicę popierani gorliwie przez Madziarów, tak że przy Polsce pozostał tylko północno-wschodni róg Spiżu, zwany districtus Podoliensis a należący do powiatu sądeckiege. Była to jednak prawie bezludna okolica, przerznięta Białym i Czarnym Dunajcem i dopiero w początku XIII wieku liczniejsze powstają osady, między któremi Szaflary z zameczkiem, jedno z wybitniejszych zajmują stanowisk. Tym sposobem zbliżyły się do siebie stopniowo dwie kolonizacye, idące z dwóch stron, od Węgier i Polski a zetknięcie się wywoływało potrzebę ich rozgraniczenia, nieodczuwaną poprzednio wśród pustek i leśnych obrębów. Ale w tem miejscu brakowało właśnie tej granicy wybitnej, jaką na południu stanowiły najwyższe grzbiety Tatr a na północy Dunajec, niemniej jednak w przerwie między obu temi liniami przyroda utworzyła naturalny łącznik wskazujący czertę graniczną. Jest nim potok, powstający z górskich strumieni i biegnący do rzeki Dunajca a nazwany Białka. I rzeczywiście życie miejscowe z obu stron trzyma się mniej więcej tej linii, chociaż w ciągu biegu czasu to jeden, to drugi sąsiad usiłuje takową przekroczyć, nawet szczęśliwie przekracza. Tak około 1384 roku obwód Podoliniecki przeszedł do Węgier, lecz już w 1412 roku skutkiem zastawu przez Zygmunta, cesarza niemieckiego i króla węgierskiego, za 37,000 kóp groszy czeskich u Władysława Jagiełły, ziemie te przeszły w posiadanie tego ostatniego wraz z wieloma grodami, które przedtem należały do Węgier. Zastaw, nie wykupiony przez Zygmunta i jego następców, pozostał przy państwie z tej strony Karpat i utworzył osobne starostwo, pozostające przy niem aż do 1769 roku. Zastaw ten nie tworzył atoli jednej całości, ale cztery kompleksy, obejmujące szesnaście miast, z których trzy (Lubowla, Podoliniec, Gniazdo) uważano za zwrócone a trzynaście za zastawione; reszta zaś Spiża z miastem Keszmark, Lewoczą, wraz z jedenastoma mniejszemi pozostałemi przy Węgrzech — utworzyła komitat Spiski. Nowy ten stosunek wpłynął na pobudzenie osadnictwa z tej strony, jakoż liczba nowo powstałych osad na mocy przywilejów mnoży się, zakładane bywają wsie i grunty pozyskują oznaczonych właścicieli. Z początkiem XVI wieku Podhale Nowotarskie zaliczone zostało do królewszczyzn, a dzierżawcy takowych, Pieniążkowie, we własnym interesie popierali gorliwie osadnictwo, ma się rozumieć niemieckie, bo przy utwierdzeniu chłopa polskiego na pańskiej roli, tylko narodowość niemiecka mogła dostarczyć ludzi wolnych, sposobnych do kolonizacyi. Tak między innemi powstały za Stefana Batorego dwie wsie: Zakopane i Groń: co do pierwszej przywilej osadniczy z 1578 roku wymienia, iż obszar jej ciągnie się „granicą przez Tatry aż do państwa Spiskiego... wierzchami gór", drugi zaś obdarza osadników (sołtysów) polanami: „Wierzch, Liśnica, Karpencina, Jaworzyna Węgierska", leżącemi tuż przy Białce na obszarze, na którym później powstają wioski: Białka, Brzegi, Bukowina. Szczegóły te należy zapamiętać, aby dobrze zrozumieć genezę sporu — co gdy się stanie, my powrócimy do toku dalszego opowiadania.

P. T.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA GALICYJSKA.

Kraków, 10 czerwca.

(Wybory. — Chłopscy posłowie. — Czerwony książe. — Jubileusz Zacharjasiewicza. — Wystawa obrazów Podkowińskiego. — Zjazd pedagogiczny. — Działalność kobiet.)

Na jesień r. b. rozpisane zostaną wybory do sejmu galicyjskiego na nową jego kadencyą sześcioletnią. Zaledwie więc trzy miesiące oddziela nas od chwili, w której część losów Galicyi złożymy w ręce, jeżeli nie całkiem nowego, to przynajmniej odnowionego sejmu. Czas zatem, ażeby przygotowywać już akcyę i rozpatrywać się pomiędzy kandydatami. Filozofia języka wskazuje, iż z w y b o r ó w powinni wyjść ludzie w y b o r o w i i zapewno ten pierwszy, który wynalazł na świecie wybory nie inaczej się na nie zapatrywał, przypuszczał, że będą one szlachetną cywilizacyą między ludźmi przynoszącymi ze sobą największy kapitał pracy, zdolności i chęci ulepszania stosunków społecznych. Niestety, nadzieje te po większej części zawiodły; wybrani składają się w połowie z próżniaków, więcej niż w połowie z ludzi miernych, a nawet bardzo miernych zdolności, a większość też zazwyczaj nie myśli o dobru ogólnem, lecz o dobru swych stronnictw, lub koteryi, za czem się ukrywa dobro własne. Broń mnie Panie Boże, abym wypowiadał powyższą opinię wyłącznie o sejmie galicyjskim: nie jest on może lepszym, ale nie jest i gorszym od wszystkich ciał parlamentarnych. Ale powinien być lepszym, bo nieszczęśliwe warunki, w jakich zostajemy, nie powinny nam pozwalać na zbytek wybierania słabych głów, pracowitych próżniaków i pachołków stronnictw, myślących jeżeli nie o upieczeniu dla siebie dobrej pieczeni, to przynajmniej słodkiej leguminy, reklamy i popularności. I dla tego też ludzie, mający rzeczywiście na celu dobro społeczeństwa, powinni wcześnie krzątać się około wyboru zdrowych moralnie i umysłowo jednostek, ażeby zagrodzić drogę manekinom i szarlatanom. Tymczasem na tem polu panuje zupełna cisza, bo rozmaite wiece włościańskie i inne, o których w pismach czytamy, robią wrażenie czystej komedyi, odgrywanej przez kilku ludzi s i b i s u i s q u e. Wmawianie we włościan, że powinni t y l k o s i e b i e wybierać jest istną farsą, bo lud nasz niestety stoi jeszcze za nizko pod względem oświaty, aby mógł pomiędzy sobą znaleść dostateczną ilość ludzi dorosłych nietylko do zrozumienia dobra publicznego, ale i do radzenia nad niem. Ci demokraci swojskiego chowu, którzyby chcieli widzieć w sejmie zasiadające szeregi włościan, zapominają, że wszelki postęp na świecie był wytworem umysłów wysoce inteligentnych, że prawdziwy postęp więcej na inteligencyi opierać się musi, aniżeli konserwatyzm, że każda idea postępowa zanim sobie zdobyła zwycięztwo, była propagowaną i wywalczaną przez najświatlejsze umysły.

Do historyi akcyi wyborczej, której nie ma, a więc do historyi tego, czego nie ma, przybył fakt charakterystyczny. Grono posłów sejmowych wybiera z pośród siebie C e n t r a l n y k o m i t e t wyborczy, któremu poleca opiekę nad wyborami. Dzieli się on na zachodnio i wschodnio-galicyjski. Temu ostatniemu od lat wielu przewodniczył ks. Adam Sapieha. Ponieważ komitet do tej chwili nie dawał znaku życia, a więc dziennikarstwo zaczęło mniej więcej delikatnie zwracać uwagę księcia pana, że czas byłoby obudzić się z drzemki. Na to książe Sapieha oświadczył w piśmie do dzienników, że całkiem do snu się nie zabierał, a jeżeli nie zwoływał posiedzenia komitetu, to dla tej prostej przyczyny, że nietylko w nim nie przewodniczy, ale całkiem do niego nie należy. Został wprawdzie wybrany, ale wyboru nie przyjął i oświadczył to wszystkim członkom komitetu, którzy też wybrali prezesem hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. A więc winien nie ks. Sapieha, lecz hr. Dzieduszycki. Ale pociągaj tu winnego do odpowiedzialności, kiedy ten prezes setki klubów, poseł, profesor filozofii, powieściopisarz, poeta, historyk sztuki, publicysta, pedagog, krytyk, członek rady szkolnej, mówca, popularyzator naukowy, archeolog, konserwator itd. itd. — pojechał sobie do Konstantynopola, zkąd zapewne przywiezie ze sobą rozprawę archeologiczną o meczetach, poemat o Bosforze, studyum o kobiecie muzułmańskiej, przyczynek do życiorysu Mahometa, artykuł o finansach państwa otomańskiego, studyum o artyleryi tureckiej i rozprawę o tureckich orzechach.

Co jednak było przyczyną, iż ks. Adam Sapieha nie przyjął wyboru do komitetu centralnego? Nic innego, tylko liczne ukłucia szpilką ze strony naszych panów konserwatystów. Książe należał zawsze do osobistości bardzo popularnych, a popularność ta doszła do zenitu po wystawie lwowskiej, na której czynił honory domu. Powiedział mówek, lekko licząc, czterysta, a choć w treści były to rodzone siostrzyce, w każdą z nich umiał wtrącić kilka zgrabnych frazesów, zastosowanych do okoliczności. Każdy prawie rzeczywisty, czy tajny demokrata powróciwszy z wystawy zanim opowiedział o wrażeniu, jakie na nim uczyniła, rozpoczynał od słów: „Byłem na przyjęciu u ks. Sapiehy — wino było bardzo dobre, gospodarz bardzo serdeczny. Mówił do mnie książe, że..." i t. d. Temi środkami ks. Sapieha chwycił wszystkich za serca, bo nikt tak jak on nie umie utrzymać pod tym względem tradycyi owych „królewiąt", co niegdyś „papką i czapką" rządzili tłumami szlachty a przez nie Rzeczpospolitą. Zwano go niegdyś c z e r w o n y m księciem, a chociaż lata pobieliły jego brodę, to zawsze odzywa w nim się ta dawna żyłka nie w czynach, lecz we frazesach. Objawem jego popularności w szerokich sferach, oprócz złożonego adresu z dwustu tysiącami podpisów, było udzielanie mu e n g r o s honorowego obywatelstwa prawie wszystkich miast i miasteczek galicyjskich. Nie podobało się to srodze naszym konserwatystom i rozpoczęła się serya szpilkowania. Kraków ukłuł go pierwszy; kiedy bowiem postawiono w sekcyach rady miejskiej wniosek obdarzenia księcia oraz dyrektora wystawy Marchwickiego obywatelstwem honorowem, rada miejska udzieliła tej godności namiestnikowi hr. Badeniemu. Po wręczeniu księciu wspomnianego powyżej adresu rozpoczął „Czas" i „Przegląd" kampanią pełną złośliwości przeciw inicyatorom tego rodzaju uczczenia zasług ks. Adama. O drobniejszych, prywatnych, zakulisowych szpilkach nie wspominam, dość, że ich rezultatem było usunięcie się ks. Sapiehy z centralnego komitetu wyborczego.

Nie może się obawiać szpilkowania Jan Zacharjasiewicz, obchodzący 40-letni jubileusz swej pracy na niwie powieściopisarskiej. Nie brał nigdy najmniejszego udziału w walce

stronnictw politycznych; ztąd też nikomu się nie naraził. Jako artysta obserwował społeczeństwo, a co widział, wcielał w formę powieści, nie rządząc się ani antypatyami ani sympatyami. Wysoko stanął „Świętym Jurem“ i utrzymał się na tej wysokości. Bibliograf wyliczy przynajmniej z 50 tytułów jego powieści, z których każda posiada wartość artystyczną. Dobrze więc zrobiło lwowskie „Koło literackie“, że podniosło myśl jego jubileuszu i szczerze się nim zajęło. Nie należy dla znakomitości dzisiejszych zapominać o tych, co mieli nieszczęście wcześniej się od nich urodzić. A szczęście to jak u Zacharjasiewicza połączone było z więzieniem na Spilbergu, bo lubo nie kłócił on się ze swoimi, to przecież dopuszczał się tej zbrodni, że nie umiał być lojalnym poddanym jednej ze szczęśliwie nam panujących potencyi. W czasach owych zdanie to jego podzielali prawie wszyscy, a kto inaczej myślał, tego nieładnie nazywano. Ale było to już tak dawno, że błąd ten odpuszczą zapewne Zacharjasiewiczowi zwolennicy utrzymania bytu narodowego w formie pokłonów i podziękowań za opiekę berlińsko-petersburską. Jeżeli zaznaczyłem, iż Zacharjasiewicz jako powieściopisarz stał nad stronnictwami, to nie znaczy to, aby w utworach jego nie było tendencyi, a była tą tendencyą myśl szczero polska, która widniała tak w „Świętym Jurze“ jak w powieściach: „Na kresach“, „W przededniu“ itd., które stanowią pod względem myśli jedną całość, uzupełniając się wzajemnie. Pierwiastek miłosny, który dziś wypełnia utwory nawet najznakomitszych powieściopisarzy, dowodząc zarazem czczości ich ducha, w wymienionych powyżej powieściach był na planie drugim, a występował tylko w tych utworach, które pisał Zacharjasiewicz dla kawałka chleba w czasie największej tyranii cenzury rosyjskiej. Podnieść też należy, że Zacharjasiewicz szedł zawsze z biegiem czasu, nie zasklepiał się wyłącznie w pojęciach i stosunkach swego „wieku męzkiego“. I tak z jego ostatnich powieści „Chleb“ jest utworem osnutym na tle socyalizmu, poznańskiej komisyi kolonizacyjnej i funduszu welfickiego, a „Orion i Chryzantema“ stanowi satyrę na dzisiejsze stosunki teatralne i dziennikarskie Zachodu. „Koło literackie“ lwowskie często się spotyka z zarzutami — o ile słusznie nie mogę powiedzieć — to jednak pewna, że od czasu do czasu daje takie oznaki życia, jakiego całkiem nie daje Koło krakowskie. Dyskusye nad książkami Koźmiana i Sulimy o r. 1863 i podjęcie jubileuszu Zacharjasiewicza są tego najlepszym dowodem i muszą też być wpisane w rubrykę dochodów moralnych tej instytucyi.

W sferach artystycznych lwowskich budzi zajęcie wystawa obrazów zmarłego niedawno Podkowińskiego. Widziałem te obrazy już przed trzema miesiącami i nie zrobiły one na mnie tak silnego wrażenia, do jakiego mnie przygotowywała reklama dziennikarska. Podkowiński był zapewne talentem, a może nawet dużym talentem, lecz stanowczo zwichniętym. Najsłynniejszy jego obraz „Szał“, więcej dziwi chorobliwością niż oryginalnością. A zdaje się, iż gonitwa za tą ostatnią była głównem znamieniem twórczości artysty. „Szał“ tyle razy opisywano, że można śmiało nie dodawać jeszcze jednego opisu. Ale weźmy np. obraz „Ironia“. Widzimy młodą kobietę, której połowa ginie w ciemnem tle, na którem widzimy czerwone krwawiące się serce w towarzystwie dwóch silnych dłoni męzkich. Serce to promienieje na wsze strony rozmaitemi jaskrawemi kolorami. Co to ma być? gdzie tu jest ironia? zgadnąć doprawdy trudno. Przypominam sobie jeszcze krajobrazy o dziwnych kolorach. Za to w mniejszych szkicach, w paru portretach piórkiem robionych i w notatach artystycznych widać rzeczywisty talent, którego rozwinięciu się stanęła na przeszkodzie mania malowania tak jak nikt nie maluje i wybierania tematów takich, jakich nikt nie wybiera.

Podczas Zielonych Świąt odbył się w Krakowie zjazd nauczycieli szkół wyższych, na którym dr. Leonard Piętak zawiadomił, że gimnazyum żeńskie we Lwowie otworzonem zostanie z początkiem roku przyszłego. Nie zdziwiłem się, że w programie wykładów znajduje się łacina, bo przyszłe historyczki, filozofki, lekarki, prawniczki itd. obejść się bez niej nie będą mogły, ale przeraziła mnie greka, bez której świat dawno mógł się był obejść, a która wchodzi do programu chyba kwoli odstraszenia płci żeńskiej od gimnazyum. Największą dyskusyą na zjeździe wywołał referat o przeciężeniu w gimnazyach galicyjskich. Walne zgromadzenie krakowskiego „Koła pań szkoły ludowej“ wykazało, iż zebrały one w ciągu roku kwotę przeszło 5000 złr., z których większą część przeznaczono na rzecz szkoły w Białej. Ten rezultat działalności wydziału tego Koła zasługuje na uznanie, co tem chętniej czynię, iż przed miesiącem charakteryzując ujemnie działalność filantropijno-społeczną pań krakowskich i owemu Kołu pań szkoły ludowej przypiąłem łatkę. Bezstronność każe mi być nieco skruszonym i nieco bijącym się w piersi, co też czynię z ochotą, zastrzegając się jednak, iż nie myślę dla tego wyjątku cofać poglądu mojego na ogół działalności publicznej dam i dziewic królewskiego stołecznego głównego miasta Krakowa.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYNSKA.

dnia 8-go czerwca.

(Z sezonu. — Urodziny królowej — Dramat p. Pinero. — Sara Bernhardt i Eleonora Duse. — Sezon operowy. — Epilog sprawy Oskara Wilde.)

Książę-karnawał letni wjechał na ognistym rumaku; słońce poczęło piec poczciwych Londyńczyków, którzy na gwałt powdziewali flanelowe kostyumy i białe trzewiki z żaglowego płótna i wytrząsają z siebie cywilizacyę na trawnikach w tennis'ie i criket'cie. Kłąby kwiatów z ogrodów i parków przewędrowały nawet na damskie kapelusze, tak, że czy to na indyjskiej wystawie, czy w Burlingtońskich salonach sztuki można kształcić się w botanice. Do uświetnienia sezonu przyczyniła się szczególniej wizyta emirowicza afgańskiego, Nassr-ulha chana, któremu Albion za pomocą dobrych obiadów i nadzwyczajnych przyjęć zaszczepia sympatye do Anglii, spodziewając się, iż zmniejszą się odpowiednio jego względy dla Rosyi. Londyn rad jego wizycie, bo czarne baranie czapki i oryginalne kostyumy świty mile wpadają w oko i ożywiają rodzajowe obrazy, jakie przedstawia przegląd wojska lub wielkie wyścigi w Epsom. Przy pięknej pogodzie tegoroczne „Derby“, największy turniej bez przeszkód, cieszył się ogromną frekwencyą, a niespodziany wynik musiał nabić torby bookmakerów po brzegi. Wybrańcem losu był ponownie lord Rosebery, albo raczej koń jego Sir Visto. Szczęśliwszy na torze niż w parlamencie prezes ministrów w roku zeszłym zgarnął także sześć tysięcy funtów za fatygę swego bieguna. Sukces ten wpłynął zbawiennie na sen polityka i z tego powodu nie jest pozbawiony doniosłości na bieg spraw europejskich. Ileżbo złego może nabroić i n s o m n i a głównego administratora państwa, nad którem nie zachodzi słońce?..... Tymczasem Gladstone, który uważałby sobie za wakacye wyręczenie Rosebery'ego w urzędzie, zaniemógł, lecz oczywiście była to słabość przejściowa. Wielki starzec bowiem, jak się zdaje, wyrzekł się śmierci. To samo dałoby się powiedzieć o królowej, która ukończyła siedmdziesiąty szósty rok życia, a piędziesiąty siódmy szczęśliwych rządów.

Urodziny królowej mijają niepostrzeżenie; czytamy tylko o recepcyi, o orderach i nobilitowaniach, nad któremi zastanawiają się gazety. W rzędzie uszlachconych figuruje trzech przedstawicieli sztuki: powieściopisarz Walter Besant, poeta Lewis Morris i aktor Henryk Irving. O autorze licznych i popularnych powieści literatura nie wyda bardzo pochlebnego sądu, gdyż należy on do tych pisarzy, dla których powieść nie jest dziełem sztuki, lecz poprostu drukiem obliczonym na miłe przepędzenie czasu. Pod względem pomysłowości może rywalizować z wielu powieściopisarzami dawnej szkoły idealistycznej i poniekąd z Emilem Gaboriau. Główna zasługa jego polega na tem, że pośrednio przyczynił się do wzniesienia słynnego Pałacu ludowego w ubogiej dzielnicy Londynu. W jednej z swych powieści bowiem odmalował przybytek, w którym robotnik znalazł łaźnie, koncerty, czytelnie i inne duchowe zarówno jak fizyczne rozrywki. O Lewis Morrisie znani krytycy utworów poetyckich wyrażają się w ogóle nieprzychylnie, natomiast dla Henryka Irvinga wszyscy znajdują entuzayastyczny poklask. Nie ulega wątpliwości, że jest on jednym z najznakomitszych artystów, jakich widziała scena i godnym spadkobiercą wawrzynów Garick'a. Przez lat wiele na deskach sceny Lyceum odtwarzał pomnikowe postacie Hamleta, Mefistofela, Shylocka, króla Leara z niepospolitym talentem i ogromne położył zasługi około cechu histryonów i teatru angielskiego w ogóle. Prześcignął sam siebie jako Don Quixotte w sztuce z dzieła Cervantesa wyjętej i dziwić się tylko można w obec idealnej kreacyi sympatycznego maniaka, że prochy hiszpańskiego poety nie podniosły się z grobu, aby ujrzeć najprawdziwszego „rycerza o smutnej powierzchowności“, jaki kiedykolwiek istniał.

Nowy dramat Artura Pinero wielkie wzbudził zajęcie i okazał się ciekawem dziełem, lubo nie dorównywającem „Drugiej żonie pana Tanqueray“. Byłoby błędem uważać „Osławioną panią Ebbsmith“ za sztukę opartą na tezie. Wprawdzie z obu dramatów, tak jak w ogóle z każdej poważnej realistycznej sztuki da się wydobyć nawet kilka tez, lecz postacie p. Pinero nie są dość przeciętne i typowe, aby można wmówić w autora, że chciał dać nam więcej prócz zdawkowej nauki moralnej. Jeżeli zaś miał taki zamiar, to tem gorzej dla niego, bo nie dorósł do Ibsenowskich światopoglądów, ani przeniknął do psychicznych podwalin człowieka. Lecz „osławiona pani E.“, a zwłaszcza pierwsze trzy akty są pracą interesującą, w której autor logicznie i zgodnie z prawdą życiową przedstawił niebiezpieczeństwo, na jakie naraża kobietę wolny związek. Atoli niepodobno dojść do żadnej konkluzyi, a jeżeli gwałtem pokusimy się o nią, to okaże się, że małżeństwo jest instytucyą przeżytą, a wolny związek niepraktycznym i niebezpiecznym tejże zastępcą.

Z gwiazd zagranicznych zawitała znowu Sara Bernhardt i przywiozła cały swój najnowszy repertuar a mianowicie L a p r i n c e s s e L o i n t a i n e i G i s m o n d ę p. S a r d o u. Sztukę tę wliczyć należy w poczet zgrabnych fabrykatów scenicznych o grubych efektach melodramatycznych, które autor „Rabagasa“ i „Naszych najserdeczniejszych“ tworzy dla specyalnego użytku boskiej Sary i przysporzenia sobie milionów. Współzawodniczy z paryzką aktorką ponownie Eleonora Duse, o której grze pisałem w roku zeszłym. Ciekawym jest porównanie tych dwóch temperamentów artystycznych w rolach Damy kameliowej i Magdy w dramacie Sudermana „D i e H e i m a t h“.

Zawsze świetny sezon opery przedstawia się tego lata nadzwyczajnie interesująco, będąc procesyą wszystkich bodaj najsławniejszych śpiewaków europejskich. Jakoż naprzód heroiczny tenor Tamagno zachwycił wszystkich jako Otello, a francuzki barytonista Maurel w swej oryginalnej partyi Falstaffa. Niebawem Adelina Patti wystąpi w Trawiacie i innych operach z dawniejszego repertuaru, tymczasem zaś najwybredniejszy meloman muzyki wychodzi oczarowany śpiewem australskiej primadonny Melby, wobec której bladnieje nawet tak niepospolita artystka jak Albani. Naturalnie Jan i Edward Reszkowie wkrótce ukażą się tysiącom swych wielbicieli; bez nich bowiem, tak jak bez Paderewskiego, w koncercie sezonowych uciech brakłoby najpiękniejszych akordów. Twórca Fantazyi polskiej wystąpi na jednym z koncertów słynnej austryackiej orkiestry Nikischa i da niezawodnie własny „recital“. O występach innych koncertantów polskich dotąd głucho.

Smutna sprawa Oskara Wilde w dalszym swym przebiegu nie uroniła nic z swej sensacyjności, przeciwnie przechodziła różne fazy, składając się na najgłośniejszą z c a u s e s

célèbres. Gdyby powieściopisarz osnuł romans na tem zagadkowem i awanturniczem tle, podziwiałby każdy dar kombinacyjny i pomysłowość, lecz nie wierzył w prawdopodobieństwo fabuły. Widocznie dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Obrony dramaturga podjął się znakomity adwokat sir Edward Clarke i tak potężne wywarł wrażenie na sędziach przysięgłych i prokuratorze, że, lubo przewinienie zdawało się nie ulegać wątpliwości, sędziowie nie umieli orzec, czy O. W. jest winnym, czy nie. Cofnięto wszakże zarzut o konspiracye z współoskarżonym Taylorem. Wskutek tego sprawa przyszła ponownie przed trybunał i zdawało się, że dramaturg zostanie uznany niewinnym. Po wielu zachodach udało się uzyskać tymczasowe wypuszczenie na wolność Wilde'a za kaucyą 2 i pół tysiąca f., którą złożyli pewien duchowny i starszy potomek margrabiego Queensbery. Zajął on bowiem przeciw ojcu także wrogie stanowisko i żył z nim na stopie wojennej od czasu poślubienia — kelnerki. Otwarcie nawet dał wyraz swemu oburzeniu, bo spotkawszy ojca na ulicy, uważał za stosowne spróbować się z nim na pięście. Obaj sportsmeni przespacerowali się dla tego do cyrkułu, gdzie musieli złożyć po 500 f. jako gwarancyą na to, że będą zachowywać się grzecznie — przez sześć miesięcy. Tymczasem młodszy lord wyjechał do Francyi, a na wieść o boksowaniu się brata z ojcem wystosował list do paryzkiego „Figara“ z ubolewaniem, że nie jemu przypadło w udziale „poprawić“ ojca (sic). Dodajemy do tego, że dramaturga miał łączyć zażyły stosunek z rozwiedzioną margrabiną Q., jak zapewniał adwokat Clarke, a będziemy mieli stek najcudniejszych wypadków, jakie wymarzyć sobie może twórca kuchennych romansów w rodzaju „Izabelli, królowej hiszpańskiej“. Każdy przyzna, że w łonie szlachetnego rodu Queensbery'ych panują bajecznie wesołe stosunki! Przed nowem gronem sędziów sprawa „Oskara“ wzięła odmienny obrót i nietylko poetę skazano na dwa lata ciężkich robót, lecz prokurator uznał, że ta najwyższa kara jest za małą. I tak przybity i osiwiały dramaturg przepadł dla świata i literatury. Tragiczne!

Nobody.

NA WYŁOMIE.

(Lojaliści na Formozie. — Podwójna polityka. — Męczennik idei. — Morfina).

Nie wiem, czy to figiel, czy jakaś dziwna anomalia psychologiczna, o której donosi jeden z japońskich dzienników. Otóż na wyspie Formozie, anektowanej świeżo przez wrogów chińskich warkoczy, postanowiono ojcu najmiłościwiej panującego Mikada zbudować pomnik wspaniały ze składek publicznych i wzywano nietylko Japończyków tryumfujących, ale również mieszkańców zabranego kraju, aby raczyli otworzyć upusty ofiarności swojej. I stał się fakt niezwykły. Lubo zwycięzcy na Formozie gospodarują aż miło według Brennusowej recepty „vae victis“, rzucili notable zabranego kraju lojalne hasło: „Składkujmy!“ Dzięki tej pobudce zgromadzono w krótkim czasie kilka tysięcy Yensów i przystąpiono do monumentalnego dzieła, które niebawem ozdobi Formozę. Nazwiska japońskiego mistrza, budującego pomnik zmarłego Mikada, nie zapamiętałem, bo te japońskie wyrazy absolutnie w mózgu moim aklimatyzować się nie chcą, i oprócz pana Kitasato, japońskiego Pasteura, oprócz słynnej epopei „Fei-Kemonogatari“, lirycznej antologii „Manjosiu“ i kilku dźwięków geograficznych, pamięć moja odmawia wszelkiej japońszczyźnie gościnności. Niechaj mi zatem wybaczy rzeźbiarz japoński, że mimo całego szacunku, jaki budzi we mnie sztuka, chociażby nawet zrodzona w jakiem Tokio, Kioto lub słynnem z kapeluszy słomianych Yokohama, nie mogę nazwiska jego przekazać potomności, — dość, że pomnik stanie na Formozie i dziennikarscy heroldzi otrębują na wschód i zachód, północ i południe, że zbliża się uroczysty moment odsłonięcia. Lękano się zrazu, że w puch rozbici republikańscy wyspiarze zamanifestują wyraźną wstrzemięźliwością, że uwierzyć im trudno, aby pięty Formozan stworzone były jedynie dla japońskich ćwiczeń w krwawej bastonadzie, ale niebawem nabrali panowie zaborcy przekonania, że im energiczniej bambus świszczy w kraju zwyciężonym, tem czulej niewolnicy potrafią lizać rękę egzekucyi. Popłynęły składki, a w chwili odsłonięcia pomnika sztandary zdeptanego ludu pochylą się przed kamienną statuą Mikada, związki i towarzystwa pełnić będą straż honorową i gardła Formozan zanucą jakieś japońskie „Boże carja chrani“ lub „Heil dir im Siegeskranz“. Notable zabranego kraju spodziewają się podobno, że ta rozczulająca pokora ozdobi ich piersi orderami „wschodzącego słońca“ i „złotego kwiatu“.

Tyle donosi jeden z japońskich dzienników. Wiadomość tę oczywiście podaję na odpowiedzialność kolegów z Tokio, ale rozpatrując się w naszych poznańskich stosunkach, sceptycyzm mój, zamiast rosnąć, maleje z minuty na minutę. „Przegląd“ ostrzegał niejednokrotnie przed demoralizującym wpływem hyperlojalnych umizgów polskich w sejmie i parlamencie, — była to morfina sączona kroplą po kropli, w coraz większych dozach w organizm społeczeństwa, niszcząca energię, poczucie godności osobistej, odporność i świadomość krzywdy narodowej. Zdaje się, że to widmo z wróżbą zagłady na ustach stawało nieraz i tam, gdzie ukuto nowy dekalog dyplomacyi polskiej, lecz posłowie nasi sporządzili sobie puklerz dziwaczny przeciw dręczącym skargom i przeczuciom. Powiedziano nam, że można odgraniczyć dyplomacyę Koła od dyplomacyi narodu, że Berlin daleko leży od Poznania i że taktyczne manipulacye reprezentantów społeczeństwa nie zapuszczą ideowych korzeni w społeczeństwie samem, — jednem słowem uspokojono sumienie sofistycznym wybiegiem, że lojalizm wprawdzie niweczy moralne podstawy narodowego bytu, ale że można skonstruować dwie polityki: jedną lojalną w stolicy, drugą narodową w kraju. Tą dyalektyczną woltą lubił się mianowicie posługiwać dymisyonowany dziś już patryarcha nowego kursu, a gdy raz smutnie potrząsałem głową nad bezsilnością sofistyki takiej, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

„Pracujcie tylko dzielnie tam na prowincyi, nie naśladujcie ślepo nas deputowanych, budźcie ospałych, karćcie służalców i karyerowiczów, a to, co Pan nazywasz lojalną morfiną, nic nam nie zaszkodzi. My co innego i wy co innego. Posłowie muszą w pewnych warunkach nawet hyperlojalne zająć stanowisko, ale społeczeństwu w nasze tory wstępować nie wolno“.

Tak mówił prorok kursu nowego, a dziś jeszcze nie mogę obronić się wrażeniu, że człowiek ten wierzył fanatycznie w sztuczną budowę podwójnej polityki. Zarzucano mu nieraz złą wolę, zarzucano postronne cele i dążenia, — ja tego zarzutu nie podniosłem nigdy i przekonany jestem, że dziś jeszcze uważa on się za męczennika idei. Było coś chorobliwego w jego walce o tryumf lojalizmu, — szedł zapatrzony błędnem okiem w słońce berlińskie i wyciągał ku niemu ręce jak Gwebr, czciciel ognia. Męczennik? tak! ale męczennikiem idei był także Ravaillac rozćwiartowany w Paryżu, męczennikiem jest także sekciarz rosyjski, obcinający piersi kobietom i karany za to wieżą lub szubienicą. Męczennik? Jakiś urok bohaterstwa wieje z tego słowa, — ale fanatyk ścigający swoje idées fixes z uporem maniaka i stojący z dumą pod pręgierzem opinii, z imieniem Boga swojego na ustach, może w stosunku do społeczeństwa stać się równie szkodliwym jak człowiek złej woli, działający w rozbracie z sumieniem. Społeczeństwo sądzić nie może o wartości motywów. — ono sądzi tylko o wartości idei i czynu. Fanatyka walczącego za fałszywe Bogi rozgrzeszy etyk-psycholog, lecz społeczeństwo potępić go musi.

I potępiono go, a dzień każdy świadczy najwyraźniej, że wyrok opinii, że instynkt tych tak często pogardzanych tłumów błędnego nie ogłosił sądu. Słońce berlińskie okazało się chmurą gradową, siejącą kawałkami lodu po prowincyach polskich, i w całym zaborze rozpoczęła się jakaś wściekła orgia teutońskiej drapieżności. Przerzucając dzienniki poznańskie, zachodnio-pruskie i szląskie, spotykam codziennie nieomal ciekawe ilustracye „nowego kursu“ i „wielkanocnych koncesyi“. Pieszczą nas tak czule, że w tych uściskach tchu nam już brakuje i za bałwochwalcze ofiary i kadzidła Koła polskiego płacą zrywaniem polskich chorągwi, niszczeniem polskich napisów, rozwiązywaniem polskich zebrań, zakazem polskich majówek. Niech żyje ugoda! A wśród potopu germańskich karesów idzie przez polskie łany i siedziby jakaś nuta głębokiej pokory i strachu. „Podwójna polityka“, która miała chronić naród przed demoralizacyą, święci wspaniałe tryumfy, bo społeczeństwo nietylko kark zgina potulnie, nietylko protest swój dusi w głębinach gardła, nietylko w słodkie uśmiechy stroi usta swoje przed zgrają Bismarckowskich wychowańców, ale ciśnie się nawet tam, gdzie wróg urządza na polskiej ziemi własne narodowe igrzyska, — tam, gdzie go nikt nie prosi, gdzie prosić go nie ma czelności. Morfina działa. Duma narodowa i odporność dawna, — niezbędne mianowicie w walce z silniejszą cywilizacyą — w proch się rozsypały, i tłumy uwiedzione dworskiem mamidłem składają na ołtarzu karyery cześć swoją i honor. Z prowincyi dziwne nadchodzą wieści; — Formozanie! rodzonych braci posiadacie w Księstwie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

„Quo Vadis“ po niemiecku. „Niederrheinische Volkszeitung“, wychodząca w Krefeldzie nad Renem, pierwsza z gazet niemieckich rozpoczęła przekład powieści Sienkiewicza. Tłomaczem jest dr. Karkowski z Berlina, współredaktor „Germanii“.

* * *

Nemo propheta in patria. O Heinem, który ośmieszył pruskie żołdactwo i filisterstwo północno-niemieckie, i którego płomienne zwrotki wciąż jeszcze targają trzewia wyzyskiwaczy wszelkiego gatunku, Treitschke, w swym dopiero co wydanym piątym tomie „Historyi niemieckiej XIX wieku“, ma smutną odwagę wyrazić się, że to był „poeta podłości!“

W miarę, jak w Niemczech lżą Heinego, we Francyi cenią go coraz wyżej. Dr. Betz wydał osobne studyum w Zurychu o tym przedmiocie („Heine in Frankreich“). Okazuje się, że przekłady z Heinego, dokonane przez Gerarda de Nerval, bardzo wpłynęły na najnowszą generacyę poetów w Paryżu. Banville nazywa go największym poetą obok Victora-Hugo, a Richepin mieni go jednym z największych po wszystkie czasy. A więc i po śmierci: nemo propheta in patria!

* *

Miła niespodzianka. Słynna obecnie artystka tragiczna angielska, miss Olga Nethersol, zawdzięcza przypadkowi, a także i swej śmiałości, świetną karjerę aktorską. Była ona dopiero uczennicą — i marzyła o pierwszym występie, który wydawał się jej jeszcze bardzo dalekim. Aż tu pewnego dnia przybiega do niej stary aktor, jej nauczyciel, wołając: „Mis Olgo, chcesz pani dziś wystąpić?“ — „W jakiej roli?“ — „Umiesz ją doskonale! Jako Lydia“. — „Ale gdzie?“ — „W domu obłąkanych! „Tak, ale to nic wielkiego! Urządza się tam przedstawienie. Nasza wielka mistres Glewer zachorowała. Pomyślałem więc o pani, przybiegłem tu zdyszany — i... czy pani chcesz uratować to zapowiedziane widowisko?“ — „Chcę! Idźmy!“ odparła pierwsza gwiazda sceny angielskiej. Spakowano drobiazgi i ruszono w powozie — do... domu obłąkanych. W wielkiej sali, napełnionej po brzegi publicznością, urządzona była scena. Miss Nethersol, aczkolwiek biło jej mocno serce, odważyła się jednak wejść na scenę. Zobaczywszy, że „obłąkani“ słuchają pilnie i zachowują się „gentlemanlike“, nabrała odwagi. Naraz wzrok jej pada na jakiegoś czło-

wieka, który siedząc w pierwszym rzędzie, patrzy na nią wytrzeszczonemi oczyma — Boże wielki — jakiemi oczyma? — Obłąkany — myśli biedna dziewczyna — obłąkany z pewnością! — I ten wzrok prześladuje ją, miesza, a trwoga ściska jej gardło — ale dla roli Lydji właśnie tego było potrzeba. Młoda debiutantka porywa całą publiczność, a najzagorzalej bije jej brawo właśnie on — ten obłąkany z pierwszego rzędu. Sztuka się kończy — nowa burza oklasków. Po skończeniu artystkę otacza całe grono gości z hołdami i powinszowaniami. Naraz zbliża się do niej widz z pierwszego rzędu, mówiąc: „Pani masz talent, wielki talent! Ja panią angażuję“. A później mówi jej o rolach, jakie ona zaraz „u niego“ obejmie, przyczem dodaje, że „na początek dostanie pensji 20 f. szt. (400 m.) na tydzień. Oczywiście warjat, już tego dowodzi gaża, płacona wielkim artystkom. W przestrachu chwyta też ramię znajomego lekarza i szepce: „Na Boga! doktorze uwolnij mię pan od tego szaleńca!“ — „Bądź pani rada, jeśli on panią zaczepił — odpowiada lekarz. Wiesz pani, kto to? Dyrektor teatru Drury Lane!“ Wszystko się wyjaśniło, i w dziesięć minut kontrakt podpisano.

* * *

Nr. 11. lwowskiego tygodnika „Monitor“ wyszedł i zawiera:

Quousque tandem? — Ehre dem Polen! — Gdzie kupcy żydowscy? — Chmielowski o Kasprowiczu. — Z lwowskiego salonu. — Występy Zboińskiego. — Wieczór Juliusza Słowackiego. — Helota (wiersz). — Fejleton: „Z szarych końców“ przez Lucyana ze Swirza.

* * *

Stanisław Szczepanowski o p. Koźmianie. W nr. 2 wiedeńskiego czasopisma „Przełom“ znajdujemy w artykule St. Szczepanowskiego p. t. „Racyonalizm narodowy“ następującą krytykę dzieła Koźmiana o r. 1863:

„Literatura narodowa powinna być narodowem objawieniem, głoszącem prawdy żywotne dla narodu.

Czyż dzieło p. Koźmiana, zaklinające naród, żeby się wyrzekł idei niepodległości a ratował byt bez niepodległości, jest takiem narodowem objawieniem, słowem życia, zadatkiem przyszłości, „dobrą nowiną“ dla upadłych na duchu, która krzepi walczących, budzi obojętnych, podnosi serca, zapala myśli?

Gdzież listy wierzytelne, gdzież rękojmia posłannictwa? W życiu i czynach autora? Nie byłem w stanie się o nich dowiedzieć. W jego wiedzy głębokiej? Cechą wiedzy jest zastosowanie umiejętne „cyrkla, wagi, miary“ do przedstawienia i ocenienia opisywanych wypadków, — ja widzę tylko wyrocznię ale samozwańczą, dogmat, ale ujemny. Cyrkla, wagi, miary nie dostrzegłem ani razu w tym luźnym zbiorze fejletonow, które równie dobrze można czytać na wspak od końca do początku, jak od początku do końca.

Jedyne stanowisko, z którego książka jest dla mnie interesującą, jest (uważając ją jako spowiedź osobistą), osobiste wyznanie zwątpienia, zwątpienia, dzielonego może tu i owdzie przez pojedyńcze jednostki, ale którego się nie ma prawa przypisywać nawet najbliższemu otoczeniu autora. Zresztą możnaby zrozumieć psychologicznie zwątpienie całej jednej generacy pokonanej w walce, jeżeli ona woli szukać przyczyny klęski w słabości sprawy narodowej, a nie we własnej nieudolności“.

W dalszym ciągu porównuje autor Cieszkowskiego z Koźmianem i tak kończy ocenę swoją:

„Tak jak racyonalizm p. Koźmiana stałby się dla narodu samobójstwem, tak racyonalizm Cieszkowskiego będzie zadatkiem przyszłego zwycięstwa“.

* * *

Zygmunt Sarnecki. Nowele. Złoczów (bez daty), str. 186.

Cśm nowel i obrazków składa się na ten zbiorek. Wszystkie potwierdzają zasłużoną i dawno zdobytą reputacyę Sarneckiego, jako dobrego stylisty i obserwatora, jako wreszcie pisarza, odczuwającego serdecznie nędzę ludzką i propagatora uczuć szlachetnych. Najpiękniejszym w tym zbiorze obrazkiem jest „Marta“, nowela, opisująca miłość młodego człowieka do przybranej opiekunki. Dowcipnem jest studyum quasi-polityczne: „Pani Pelagia i cesarzowa Eugenia“; typ tej pani Pelagii, zakochanej na odległość w żonie Napoleona III., należy dziś już wprawdzie do przeszłości, ale jest niezmiernie prawdziwym. Również zręcznie i dowcipnie wprowadzony jest „Dolcio“, tenor, o olbrzymim materyale głosowym, którego pierwszy występ na scenie rozpoczyna się tryumfem, a kończy upadkiem, prowadzącym do domu waryatów. W obrazku tym wybornie są naszkicowane śmieszności nauczycieli śpiewu. W „Tereni“, pochwyconej umiejętnie z życia, razi naturalistyczne zakończenie; toż samo da się powiedzieć i o „Wilkach“. Za to szkic „Powiem mamie“ bardzo smacznie i przyjemnie opisuje rzucenie pierwszych nasion zazdrości w serce młodej mężatki. Poetyczna „Tęcza“, drobny obrazek „Nastka“ i czytający się z naprężoną ciekawością „Pojedynek“, wypełniają ten zbiór nowel wysoce utalentowanego komedyopisarza i wytrawnego publicysty.

* * *

Premje dla literatów polskich. Galicyjski wydział krajowy rozpisuje konkurs z terminem prekluzyjnym po 31 grudnie 1895 roku na dwie premje z fundacyi Franc. Kochmanna, a to jednę w kwocie 500 złr., drugą w kwocie 1000 złr. dla dwóch dzieł w języku polskim za najlepsze uznanych, i wzywa wszystkich literatów polskich bez różnicy, w którym kraju i pod jakim rządem żyją, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o te premie, przesyłali do Lwowa pod adresem Wydziału krajowego. W myśl statutu fundacji mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, zaś wydawnictwa materjałów historycznych lub innych, bibljograficzne itp. tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy samodzielne oryginalne dzieło autora. Także utwory autorów już zmarłych mogą się ubiegać o premię konkursową, jednakże z zastrzeżeniem, że jeżeli są to dzieła już drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy. Jeżeli zaś są to prace jeszcze nieogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użytą być powinna. Dawniejsze jednak publikacje niż z r. 1886, jako roku o dziesięć lat wyprzedzającego prekluzją niniejszego konkursu, bez różnicy czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą według postanowień statutu być dopuszczone do konkursu.

* * *

Daudet o Anglikach. Alfons Daudet bawi z całą rodziną w Londynie i doznaje nadzwyczajnie gościnnego przyjęcia. Jak pokazuje się z interviewów, autor „Królów na wygnaniu“ przywiózł z sobą dużo uprzedzeń a nawet „nienawiści do rasy“. Pomimo „haniebnej kuchni“ wszakże, przekonywa się do anglosasów, choć nie ma nadziei, aby późno zabrawszy się do rekognoskowania Wyspy, doszedł tak daleko w uwielbieniu jak Bourget, który w wspomnieniach z Ameryki reklamuje nawet łydki cór „brata Jonatana“. Przytoczymy kilka ciekawych uwag z jego rozmów z korespondentami „Figara“ i „Daily Chronicle“: „Pierwszem wrażeniem, jakie odebrałem, a które opanowało mnie i uderzyło jak promień słońca w płytę fotograficznej kamery, było, mimo niezliczonej liczby wozów, dorożek, różnych wehikułów i jaskrawych omnibusów, mimo ruchu i uwijających się tłumów — ogólnie panujące milczenie. Milczenie to mające w sobie coś niepokojącego, sprawia, iż poruszamy się jakby w pośród mrowiska milczących automatów“. Szczególną uwagę jego zwrócił wielki most „wieżowy“, który nazwał „la plus colossale signification de ce, que peut l'ésprit humain“. Wobec Londynu wydaje się Paryż „delikatnie szlifowanym drogim kamieniem drobnych rozmiarów“. Londyńczyków scharakteryzował jako połączenie flegmatycznego spokoju z uprzejmością. Stanleya nazwał „najpiękniejszym rezerwoarem ludzkiej energii, który istniał od czasów Napoleona“. Wielce zaimponowali mu politycy dla tego, że biorą bardzo żywy udział w sprawach, wychodzących po za zakres ich działalności i pracują także na niwie naukowej. Cechą najwybitniejszą Anglików jest duma. „My Francuzi nie posiadamy tej dumy w dostatecznym stopniu; skorzy jesteśmy do naigrawania się z siebie, z ojczyzny i do zrzucania naszych bożków. Ruchliwość jest naszą główną cechą a w szybkiej pracy intelektu leży niebezpieczeństwo. Spoglądam na Francyę z innego punktu widzenia i zrozumiałem wiele rzeczy dotąd dla mnie niejasnych“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Na posiedzeniu komisyi dla spraw zagranicznych węgierskiej delegacyi wypowiedział hrabia Gołuchowski mowę, w której oświadczył wyraźnie, że politykę poprzednika swego uważa za najwłaściwszą i najodpowiedniejszą dla interesów Austryi — Proces zakładu Aleksyanów w Akwizgranie wywołał w całych Niemczech potężne wzburzenie. Pisma liberalne zamieściły z powodu tego szereg ostrych artykułów przeciw katolickim zakonom w ogóle, pisma katolickie potępiają również gospodarkę Aleksyanów, dodają jednak że niesłusznem jest uogólnienie zarzutów. Proces Akwizgrański stanie się przedmiotem dyskusyi w izbie deputowanych. — Japończycy zajęli już niemal całą Formozę. — W poniedziałek ubiegły odbyło się uroczyste otwarcie parlamentu włoskiego.

Teatr i muzyka. Panie Zimajer i Łaska, oraz panowie Trapszo i Rapacki opuścili poznańskie towarzystwo dramatyczne, odbywające podróż artystyczną po miastach prowincyonalnych. — Na cześć Heleny Modrzejewskiej odbył się bankiet, urządzony staraniem Koła literacko-artystycznego w Krakowie. Przemawiali p. p. Bałucki, Asnyk, Kotarbiński, Benedyktowicz, Wodzinowski i Bylicki. — Teatr lwowski wznowił z powodzeniem efektowne widowisko sceniczne p. t. „Podróż naokoło ziemi w 80 dniach“. Włoskie towarzystwo śpiewaków operetkowych urządza w Warszawie szereg przedstawień. — „Kur. Codzienny“ donosi, że w oczekiwanej niecierpliwie operze Paderewskiego, osnutej na tem samem tle co „Chata za wsią“ Kraszewskiego, znajduje się scena wielce efektowna, w której „tęsknotę cygana za sztuką przerywa od czasu do czasu płacz jego dziecka“. Talent najtrudniejsze dysonanse rozwiązać potrafi — jednak mimowoli przychodzi tu na myśl przestroga: „du sublime au ridicule...“ — Akademia francuska przyznała nagrodę Augiera (5000 fr.) Franciszkowi Coppe za dramat „O koronę“. — Gabryela Śnieżko-Zapolska przybyła do Warszawy i rozpocznie tam szereg występów w teatrze Rozmaitości.

Zjazdy i kongresy. W roku przyszłym odbędzie się w Kijowie zjazd przyrodników.

Zmarli:

Lotar Meyer, wybitny chemik niemiecki, zm. w Tubindze w końcu maja.

Franciszek Neumann, słynny przyrodnik, zm. w Królewcu w końcu maja.

BIBLIOGRAFIA.

Piotr Górski. Biurokracya w autonomii. Kraków, 1895.

Juliusz Turczyński. Nasza Odysseja. Obraz z wychodźtwa brazylijskiego. Lwów, 1895.

Piotr Rodoć. Pogadanki lwowskie. Lwów, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Autorowi poezyi „Z teki Ahasvera.“ Z łaskawie nadesłanych poezyi skorzystać nie możemy.

Aniołek-Gołąbek z nad Głdy. Sprawę tę poruszyliśmy już w Nr. 22 i powrócimy do niej po ukończeniu powieści. Wybaczy Szanowna Pani zatem, że „Odezwy do „Dziennika Poznańskiego,““ na razie przynajmniej, nie zamieścimy. Autorem owego „Aniołku czekamy“ jest niejaki p. Rayski, maniak — grafoman mieszkający w Paryżu. „Pisarz“ ten jest przedmiotem bezustannej humorystyki w kolonii paryzkiej, a elaboratów jego nawet pisma amerykańskie bezpłatnie zamieszczać nie chciały. Snać amerykańscy dziennikarze mają więcej zmysłu krytycznego niż redaktor „Dziennika Poznańskiego.“

„Ktoś z głuchej prowincyi.“ Jest to wyjątek z utworu Konopnickiej, należącego do cyklu „Piosenki i Pieśni.“

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.